

# Wigilia Żołnierzy

BETLEJEM

ROKU PAŃSKIEGO TYSIĄC DZIEWIĘCSET CZTERDZIESTEGO CZWARTEGO

I stało się w owe dni, wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby spisano wszystek świat. Ten pierwszy spis dokonany został przez wielkorządcę Syrii, Cynyna. I szli wszyscy, każdy do miasta swego.

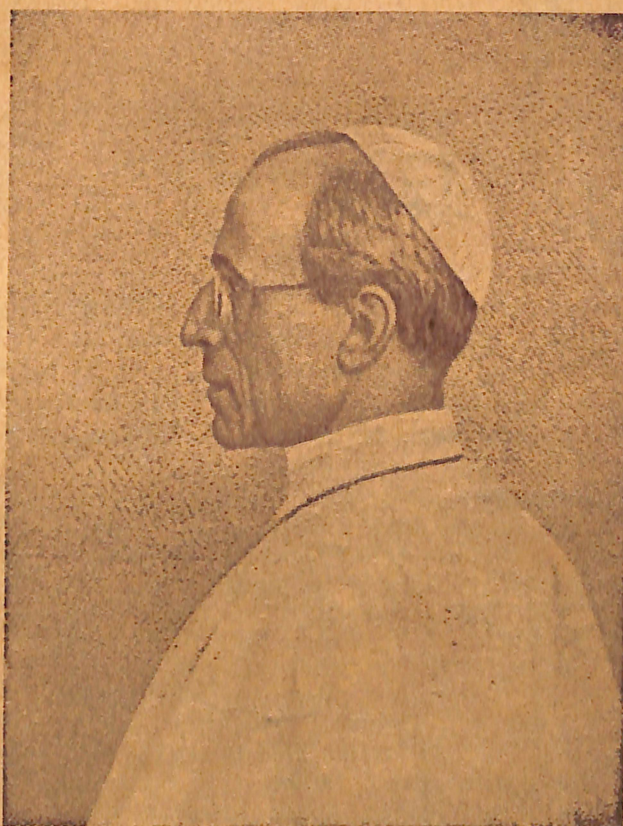
Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, które zowią Betlejem, dlatego że był z domu i pokolenia Dawidowego, aby dać się zapisać z Maryją, poślubioną sobie małżonką brzemienną. I stało się,



gdy tam byli, wypełniły się dni aby porodziła. I porodziła syna swego pierworodnego, a uwinęła go w pieluszki i położyła, go w żłobie, bo nie było dla nich miejsca w gospodzie.

(Łukasz II, 1-21)

CHOCIAŻ KRAJ WASZ  
JEST CAŁY CZERWONY OD  
KRWI, KTÓRA GO ZALEWA  
— PRAWA WASZE SĄ TAK  
PEWNE, IŻ MAMY MOCNĄ  
NADZIEJĘ ŻE WSZYSTKIE NA-  
RODY UŚWIADOMIĄ SOBIE  
SWÓJ DŁUG WOBEC POL-  
SKI, BĘDĄCEJ TERENEM  
ZBYT CZĘSTO WCIĄGANYM  
W GRĘ ICH KONFLIKTÓW.  
KAŻDY, KTOKOLWIEK MA W  
SERCU CHOĆBY NAJDROB-  
NIEJSZĄ ISKRĘ UCZUCIA  
PRAWDZIWIE LUDZKIEGO I  
CHRZEŚCIJAŃSKIEGO, BĘ-  
DZIE PODTRZYMYWAŁ PRZY-  
WRÓCENIE POLSCE W PEŁNI  
MIEJSCA SŁUSZNE JEJ NA-



LEŻNEGO W MYŚL ZASAD  
SPRAWIEDLIWOŚCI I PRAW-  
DZIWEGO POKOJU.

ŻYCIE NARODÓW TO NIE-  
USTANNE PRZEPLATANIE  
ŚWIATEŁ I CIENI, A NARÓD  
POLSKI CHYBA WIĘCEJ, NIŻ  
INNE, MA WYDARZEŃ JAS-  
NYCH I CIEMNYCH W SWEJ  
TRAGICZNEJ PRZESZŁOŚCI.

WŚRÓD TYLU ZMIENNYCH  
KOLEI LOSU WASZE WSPA-  
NIAŁE CECHY WALECZNO-  
ŚCI, DUCHA POŚWIĘCENIA I  
PATRIOTYZMU URATOWAŁY  
WAS U PROGU PRZEPAŚCI  
OD NAJGORSZYCH NIESZ-  
CZĘŚĆ.

*Plus pp. XII*

PODNIĘS RĄCZKĘ, BOŻE DZIECIE,  
BŁOGOSŁAW OJCZYZNĘ MIŁĄ,  
W DOBRYCH RADACH, W DOBRYM BYCIE  
WSPIERAJ JEJ SIŁĘ SWĄ SIŁĄ

DOM NASZ I MAJĘTNOŚĆ CAŁĄ  
I NASZE WIOSKI Z MIASTAMI,  
A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO  
I MIESZKAŁO MIĘDZY NAMI.



CZEMUŻ TO, OJCZYŻNO MOJA, LOS TWÓJ JEST TAK CZĘSTO PASMEM WALK BEZ POMOCY?

CZEMUŻ TO POWTARZAJĄ SIĘ SMUTNE KOLEJE TWYCH DZIEJÓW, A TYLKO OBCY UCZESTNICY ZMIENIAJĄ SWE ROLE? AZJA I GERMANIA GRAJĄ TĘ SAMĄ Z TOBĄ GRĘ. GDY PRZED 700 LATY AZJA MONGOLSKA WYRUSZYŁA PRZECIWKO TOBIE, BYŁAŚ NA LIGNICKICH POLACH OSAMOTNIONA A GERMANIA PRZYGLĄDAŁA SIĘ TWEMU KONANIU. GDY DZIŚ WALCZYSZ Z GERMANIĄ, AZJA STAŁA BEZCZYNNIE. „GDY LUD PADAŁ OD RĘKI NIEPRZYJACIELSKIEJ A NIE BYŁO POMOCNIKA, WIDZIELI JĄ NIEPRZYJACIELE I NAŚMIEWALI SIĘ, Z SABATÓW JEJ“, Z JEJ OPUSTOSZENIA.

TAK GINĄŁ RYCERZ CYWILIZACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ. LECZ PRZED KONANIEM ZATKNAŁ ON DRZEWCE SWEJ CHORAĞWI GŁĘBOKO W ZIEMIĘ. TO NIC, ŻE JA GINĘ — NIECH PRZYNAJMNIEJ MÓJ SZTANDAR ZWYCIĘSKO POWIEWA! SZTANDAR Z NIESPLAMIONYMI — CHYBA PRZEZ WŁASNĄ KREW — PIÓRAMI ORŁA BIAŁEGO, NAD KTÓRYM GÓRUJE KRZYŻ ŚWIĘTY, CHRYSZTUSA KRÓLA ZNAK.

+ *Trof Garkina*  
Widz. pol. W.P.

# R Y C E R S K A



**D**ZIWNIE uparcie przychodzi ciągle na myśl obraz Jacka Malczewskiego „Wigilia zesłańców“, przejmujący w swym smutku, melancholii, beznadziejności, zadumie o jasnej przeszłości ale i niewygasłej jeszcze nadziei na przyszłość. Już dla współczesnych stanowił on opowiadanie o przeszłych dniach tragicznych i groźnych, które zraniły każdą niemal rodzinę polską. Nie przypuszczali oni, iż synowie ich i wnukowie przeżyją chwile podobne, nieporównanie brutalniejsze, w poniżeniu i poniewierce nie mające sobie równych w dziejach wszystkich czasów i lądów.

Smutek, melancholia, beznadziejność, zaduma o jasnej przeszłości, — zawsze jasnej bez względu na to, jaką była w rzeczywistości, — ale i niewygasła nadzieja przepiękna serca tych, których przemoc i nienawiść rzuciły w bezkresy pustyni azjatyckich. W dzień wigilijny, jak tamci ich ojcowie i dziadowie zbiorą się w gromadę, aby dopełnić tradycji przodków i choć na chwilę oderwać myśl od ponurej doczesności, która stała się ich udziałem i pokrzepić

wzajemnie serca Dobrą Nowiną, która płynie dla nich z nieba, a której wyglądają na ziemi.

Jest ich armia ogromna. Na setki tysięcy liczona. Zbyt zapomniana.

Ku nim najpierwszym w wieczór chwały Bożej myśl nasza biegnąć winna, odebrać meldunek z ich placu boju, z ich frontu, który przebiega przez każdy łagier, każdą więzienną celę, każdy posesiołek, każdy dom, każdą izbę, każde posłanie o tym, jak codzienne, nieprzerwane od z górą pięciu lat, odnoszą zwycięstwa sprawy polskiej, znajdując się w warunkach, które okropnością swoją przewyższają wszystko, co grozą napęścić może serca ludzkie. Odebrać trzeba żołnierski meldunek o rycerskich dokonaniach tej rzeszy mnogiej, którą zdali się krom Boga opuścić wszyscy ludzie.

Raport trzeba im złożyć od nas, co zrobiliśmy dla sprawy naszej wspólnej, dla odbudowania domu naszego rodzinnego, dla ich powrotu do siedzib ich odwiecznych, przez wrogów zagarniętych, które powrócić muszą do prawych właścicieli, jeśli wogóle słowo sprawiedliwość ma być powtarzane na tej ziemi. W ich rękach leży udzielenie nam absolutorium za przedsięwzięcia i osiągnięcia tego tragicznego roku i onym przyjdzie wystawić świadec-

two dobrego spełnienia obowiązku służby wobec wspólnej Ojczyzny.

Wraz z nimi w tę noc wigilijną odwiedzimy wszystkie groby braci naszej, rozsiane od brzegów oceanów i mórz przez Katyń po polskie równiny, pospólnie odbierzemy od cieniów poległych rozkaz walki dalszej, nieustępliwej, o wszystką ziemię naszą i wszystkie wartości całego naszego życia i całych naszych dziejów, za które oni życie oddali, za co oni umarli, abyśmy my żyć mogli.

W wędrówce po wszystkich miastach, siółach, wsiach, domach, w Ojczyźnie naszej, brnąc po śniegami zawianych drogach, miedzach, zagonach, w poszumie lasów ojczystych, pod jedynym w swym pięknie polskim ugwieżdżonym niebem, dojdziemy do stolicy, Warszawy, Miasta, które świętym poczytanem być może, w którym w całopaleniu najofiarniejszym zginęło dwieście tysięcy, i ucałujemy bruk, po którym chodziły stopy niezrównanych rycerzy.

Od czasu, kiedy opuściliśmy ziemię naszą, naród cały rycerskie przybrał ryszunki, od dziecka do starca stał się żołnierzem, zaprawnym w boju, hartem i męstwem przodującym wszystkim innym, najbardziej walecznym i dzielnym narodom.

I na Sybirze i w Polsce łachman, okrywający ciało, stał się mundurem



*Nous prions le Bon Dieu de  
benir largement les Po-  
lonais résidents en Pa-  
cifique, afin qu'ils puissent  
voir bientôt leur  
belle Patrie*  
le 10 Octobre 1944

*Arms Patriarche*



# W I G I L I A

w walce nieustannej, codziennej szeregów, przewodzących krzyżom dnia jutrzejszego.

Tam w Ojczyźnie naszej spotkamy się u naszych najbliższych z całą naszą Armią walczącą na obczyźnie na wszystkich frontach, na lądzie, na morzu i w powietrzu. Idąc ku nim wraz z nimi w wędrówce wigilijnej do Polski pójdziemy przysłuchać się meldunkom, jakie składać będą w stolicy wszystkim pokoleniom, które o Polskę walczyły, wszystkim wielkim duchom, które w dziejach nam przewodziły, wszystkim najpierwszym w narodzie, którzy moc Ojczyzny naszej od tysiąclecia budowali.

Opowiadać będą o Narwiku i o Tobruku, o Monte Cassino i o Palaise, o Anconie i holenderskich równinach, o wszystkich potyczkach, bitwach, zmaganiach we wszystkich krajach, którym wolność na bagnatach swoich niesli i niosą, ciągle w drodze do Ojczyzny i ciągle w myśl o Ojczyźnie. Powiedzą jak trwoni się nieraz ich krew bezcenną i marnuje ich ofiary największe przez małobliwość ducha i słabość charakteru i w tym wspólnym a jednym ujęciu ocen takich działań jeszcze bardziej z Krajem się zespolą.

Kiedy liczyć przyjdzie obecnych na

wspaniałym apelu poległych odpowiedzą, że kości ich kryje pole chwały. Głos dojdzie od wielu, bardzo wielu, którzy zawsze myślą biegną i do Polski i hen na Sybir i ku wszystkim zakątkom świata, gdzie choć jeden Polak przebywa, z poza drutów otaczających obozy jeńców a którym szczęście nie sprzyjało, aby być dalej czynnymi wojownikami. Tak samo inni czekają cierpliwie by broń chwycić w dłonie i stanąć w jednym szeregu z tymi, którzy wbrew wszelkim mocom świata odbudować pragną państwo własne dla własnego narodu.

Gdziekolwiek są Polacy, w jakimkolwiek kraju i pod jakąkolwiek szerokością geograficzną, tam w ów tradycyjny, tak bardzo przez Polaków ukochany wieczór wigilijny, wzajemnie ku sobie myślą pobiegną, wzajemnie się policzą, opłatkiem podzielą i serdeczne wymienią życzenia.

Nigdzie bodaj niebo nie schodziło na ziemię tak nisko jak w Polsce, gdzie Chrystus rodził się uroczyście w każdej zagrodzie, Matka Boża chodziła miedzami, Święci Pańscy strzegli wszystkich i wszystko ode złego i odpędzali niedobre moce, a Aniołowie za rękę prowadzili dzieci, przyszłych najwierniejszych obroń-

ców Kościoła, Rzymu i zachodniej cywilizacji.

W dniu Narodzenia Pańskiego myśl ludzka ulata w kręgi wieczności skąd czerpie moc ziemską dla doczesnej wędrówki. Zejście Syna Człowieczego na ziemię pomiędzy ludzi, to przeniknięcie świata i życia człowieczego duchem Bożym, oddechem wieczności, do której dążenie jest bez wątpienia sensem człeczego bytowania na tym globie.

Żywot Jezusa to ustawiczne bojewanie o Prawdę i Dobro, to zwyciężanie Kłamstwa i Zła, to przykroć jedyne do naśladowania, to racjonalne do wypełnienia dla Kościoła Wojującego, którego członkowie żołnierzami są Bożymi zwłaszcza czasu wojen, przewrotów i kataklizmów

Nikt bardziej i głębiej od Polaków nie pojął znaczenia tych wskazań na codzien a nie od święta, nikt chyba bardziej bezkompromisowo nie stanął zwłaszcza w tej wojnie w obozie Prawdy i Dobra i nie opuścił tych pozycji ani na chwilę. Choć dziś nam ciężko i trudno w tych okopach Bożych, chociaż w obozie samym szerzy się zaraza, jednak trwamy w swej masie żołnierskiej nieustępliwie nie ulegając małoduszności i kunktatorstwu.

Atmosfera wigilijnego wieczoru jest przede wszystkim charakteru rodzinnego, tej najstarszej komórki społecznego bytowania człowieka, starszej od państw i narodów, gmin i plemion. Po czasach rozprzężenia tego podstawowego wiązania społecznej budowy, po chwilowych triumfach ciasnego kręgu materialistycznego myślenia, powracać dziś poczyna znowu zrozumienie potrzeby mocy tego fundamentu ładu boskiego na ziemi. Chociaż jeszcze bezbożny komunizm wydaje się święcić triumfy niebываłe to jednak dni panowania Zła są policzone, gdyż natura ludzka wraca na Boże ścieżki i do form odwiecznego bytowania na ziemi.

Prawdopodobnie trudnoby było znaleźć drugi taki naród jak Polacy, któryby w całych swoich dziejach posiadał tak wielki kult rodziny, rodzinę tę tak szanował i na rodzinie całe życie społeczne oparł. Mówiono, że Polska cała tworzy jeden wielki

związek rodzin. Jeśli więc idzie dziś o odrodzenie rodziny, będące podstawowym znakiem odradzania się ludzkości, to Polacy i pod tym względem na pierwszy wysuwają się plan i przodować innym narodom są zdolni.

Im bardziej dobiega końca wojna z barbarzyńskimi Niemcami, tym bardziej jasnym się staje, iż świat musi przejść przez wielką Wojnę Krzyżową ze Złem we wszelkiej postaci i we wszelkich formach organizacyjnych, aby mogła zapanować harmonia-Bożego Ładu na tym globie. Wracają czasy Krzyżowców, którzy chociaż różnych narodowości, zjednoczeni jedną wzniosłą myślą połączyli swe siły dla walki o triumf chrześcijaństwa.

Świat się dziś rozdziela coraz jaśniej na tych, którzy sztandar przeciwboży dźwierzają i w kręgu materii radziby zamknąć bytowanie ludzkie, którzy pragnęliby zniszczyć do cna wszystko, co wieki ostawiły a prze-

szłe pokolenia zbudowały i na tych, którzy w wiecznym istnieniu w Bogu widzą swoje ideały, którzy oddali się służbie Prawdy jednej i niepodzielnej.

Zmagania przygotowują się na skalę gigantyczną i to w każdym zakątku ludzkiego zamieszkania. Świat jeden lub drugi może panować, gdyż obok siebie istnieć nie są w stanie. Bezkompromisowość będzie znamiennym tych walk cyklopicznych.

Polacy pójda na przedzie wojsk bezmiernych, idących pod znakiem Krzyża i rycerskiego miecza.

Warszawa najprzedniejszą stanie się stolicą, wierną Piotrowemu Trołowi.

Świat musi to przejść, aby dobrej woli ludziom nastał na ziemi Pokój.

W wigilię żołnierzy podzielmy się opłatkami.

Roman Nawrocki

## CYWILIZACJA W DEFENZYWIE

W obecnej dobie nasza cywilizacja znajduje się na rubieży klęski, gotowej sprowadzić jej ponowną ruinę, narzucić okres barbarzyństwa na nowo. Trudno wydać trafną opinię współczesnemu człowiekowi, stojącemu zbyt blisko wypadków. Z tym zastrzeżeniem sądzimy że ode dnia upadku Imperium Rzymskiego nie stanęliśmy na takim rozdrożu jak dzisiaj.

Jakież czynniki zagrażają obecnie człowieczeństwu? Są to po części te same co wówczas. Przede wszystkim zachłanność niemiecka. Podczas wszelkich dawniejszych wojen, walka się toczyła zazwyczaj o ten lub tamten kawał kraju, o te lub tamte korzyści. Z punktu widzenia cywilizacji, obojętne było, czy zwycięża Anglia czy Francja, Habsburgowie czy Burboni. Res publica christiana podejmowała ofensywę w postaci krucjat których celem było rozszerzenie wiary a skutkiem podniesienie cywilizacji. Za Rewolucji i Napoleona Francja podbijając narody, likwidowała absolutyzm, przynosiła wolność obywatelską. Jedno i drugie wolno określić wspólną nazwą ofensywy cywilizacji. Nie inaczej wielką akcją Hiszpanii i Portugalii, później Anglii i Francji po koloniach.

Inaczej zgoła wypadnie ocenić obie wielkie wojny w. XXgo. Jedna i druga są to wielkie ofensywy niemieckie, z tym wyraźnym i świadomym lubo nie wyznaczonym celem aby podbić świat pod niemieckie władanie. Niemcy przyjąwszy chrześcijaństwo, wprawdzie weszli w krąg narodów cywilizowanego świata, jednak tylko powierzchownie. Przypomina to ostrogockich Teodoryków, którzy kształcili się w Konstantynopolu.



W Anglii i Francji potęga państwa podporządkowana była idei wolności obywatelskiej i rozwojowi wartości duchowych religii, nauki, sztuki: u Niemców idea potęgi i przemocy państwa stała na pierwszym miejscu.

Niemcy w średniowieczu wytworzyli latrocinium w państwie krzyżackim, w nowszych czasach w państwie pruskim. Cesarstwo rzymsko-niemieckie wyknęło sobie dwa cele: narzucić swoje panowanie Włochom, Papiestwu, chrześcijaństwu tudzież wytypić graniczących od wschodu Słowian, pokojowo usposobionych, gdyż Niemcy już wtedy poszukiwali „Lebensraumu“. Zaczem podczas gdy Anglik za swój ideał pożytywa wolność polityczną, Francuz rozwija literaturę i sztuki piękne, Niemiec na czoło swego życia wysunął

wojsko, wojsko pojęte jako machinę zdobywcą. Lejtant pruski jako ideał. Nikle i jednodniowe wskutek tego okazały się prądy humanistyczne w Niemczech. Cywilizacja stanęła tam najwyżej przed półtora wiekiem, i wtedy mówili o równości, wolności i braterstwie pod wpływem Rewolucji Francuskiej.

Dawniej Niemcy przy całym ubóstwieniu potęgi materialnej i zadowoleniu ze swego „Obrigkeitsstaatu“, posiadali jeśli nie tyle zrozumienia, to tyle respektu tradycyjnego, że Anglię i Francję uważali za narody czy ustroje wyżej stojące. Owoczesne Niemcy przy swoim absolutystycznym państwie miały jakieś takie poszanowanie prawa, jaką taką wolność prasy, jaki taki parlamentaryzm. Rozwój przedstawiał się im jako zwiększenie swobody obywatelskiej, jakkolwiek ociężałe postępowali. Słowem istniał pewien powierchowy pokost cywilizacji. Inaczej zupełnie dzisiaj. Dzisiaj wyszły na jaw najgłębsze instynkty narodu. Niemcy są despotą w pełnym znaczeniu tego słowa. Nie ma prawa, jest jedynie wola „fuehrera“ Hitlera i wola jego drużyny. Pozór cywilizacji opadł jak szata teatralna z aktora. Niemcy, „die blonde Bestie“, uznali się za panów świata, pyszną się, że Anglia i Francja, nie mówiąc już o reszcie, to robaczywe próchno. Grabież i morderstwo, z lekka wstydliwie skrywane towarzyszyły im podczas poprzedniej wojny i zdradzały ich duszę bandycką. Jeśli cokolwiek jest pewne to to, że zwycięstwo Niemiec to ostateczna klęska cywilizacji, to to samo co wtargnięcie hord germańskich do Imperium Rzymskiego. Już z tamtych czasów pochodzi wyraz wandalizm. Ist-

nieje analogia pomiędzy stosunkiem Germanów starożytnych do Rzymu a stosunkiem dzisiejszych Niemiec do świata anglo-francuskiego. Wówczas plemiona germańskie posiadły przewagę militarną zburzyły Imperium a z nim cywilizację stawiając w to miejsce prymitywizm wczesnego średniowiecza. Dzisiaj Niemcy zarówno Kaisera jak Hitlera ten sam cel sobie wytknęły. Zwyciężywszy militarnie, narzuciłyby swoją despotię światu. Niechybny skutek to niesłychane obniżenie cywilizacji, stoczenie się na dno wandalizmu.

Cywilizacji naszej zagraża i drugie niebezpieczeństwo. Jest to Rosja bolszewicka. Nie dlatego że Rosja, ale że bolszewicka. Jeszcze w r. 1914 Rosja była krajem, świadomym swego prymitywizmu. Przy całej potędze materialnej, czy to carat i jego biurokracja, czy to koła liberalne i rewolucyjne spoglądały tylko sprawnym uczuciem niższości, lub jeśli chcemy zazdrości, i miały sobie za ideał podnieść Rosję do poziomu wolności angielskiej czy francuskiej. Inaczej zupełnie bolszewizm. I on posiada „inferiority complex“ wobec Niemców i Stanów Zjednoczonych, ale ten kompleks dotyczy tylko sprawności technicznej. Skoro jednak mowa o ideologii, to Rosja program marxistowski w wydaniu Lenina-Stalina początywa za najwyższą na świecie, wzmówiła sobie, że stoi na szczycie ludzkości, że przoduje wszystkim innym narodom i że jej zadaniem jest ustroić swój i mentalność narzucić światu. Na usługi swoje postawiła wojsko, które się okazało dużo sprawniejsze od carskiego, przynajmniej w obronie, dalej ma zakłamaną lecz świetnie działającą propagandę która potrafiła szeroko rozprzeszyć pogląd o wyższości a przynajmniej o wysokim poziomie komunizmu. Doprowadziłaby nas zbyt daleko analiza powodów powodzenia tej propagandy. Zwracamy tylko uwagę na pewną analogię z Islamem. Jak ten w miejsce chrześcijaństwa potrafił postawić nierównie niżej stojący rodzaj religii, powstałej u pierwotniaków arabskich, i chrześcijaństwo wyrugować z ogromnych potaci kraju, podobne powodzenie osiągnął bolszewizm pod względem ideologii społeczno-państwowej, będącej wyraźną karykaturą ustroju pogardliwie zwanego burżuazyjnym. Islam był zawsze despotią i doprowadził ostatecznie narody muzułmańskie do powszechnego obniżenia cywilizacji, mimo pewnych wyczynów na niektórych odcinkach. Nie inaczej bolszewizm. Pomimo pewnych powodzeń, oznacza już teraz barbaryzację Rosji. Na jego czoło wysuwają się terror, zakłamanie, skrajne zaprzeczenie godności człowieka, pod względem materialnym bezgraniczna nędza i robactwo, słowem znowu bezwzględna sprzeczność z cywilizacją. Nie należy tracić nadziei, że mimo wszystko Rosjanie staną się jeszcze narodem cywilizowanym, ale tego dokonają oni jedynie wówczas je-li i o ile zdolają zlikwidować ustroj komunizyczny.

Ostatnia wojna za cenę nadludzkiej wysiłków i potoków krwi przelanej skończyła się pełnym zwycięstwem

cywilizacji. Pokój wersalski jednak nie zapewnił ani stałej przewagi ani bezpieczeństwa narodom cywilizowanym. Pokój taki powinien był włączyć Niemcy do systemu anglo-francuskiego. Na to trzeba było je obezwładnić militarnie i gospodarczo, odebrać bastiony wypadowe: Nadrenię, międzymorze Szleswigu i Holsztynu, dalej Prusy Wschodnie, Pomorze szwedzkie, cały Śląsk, wreszcie rozbić jedność niemiecką a kraje niemieckie poddać pod stały nadzór. Byłoby to na nasze czasy odpowiedziało podbiću Europy środkowej przez Imperium Rzymskie, byłoby odrobilo prusjanizację Niemców, otwierając przed nimi prawdziwe widoki cywilizowanego bytowania. Tymczasem pozostawiono mocarstwo niemieckie niemal niezmiernie, bardziej zjednoczone niż kiedykolwiek. Wydano je na łup propagandy mściwości. Skrępowane tylko postanowieniami rozbrojenio-wymi, przypominającymi sznurki zastoso-wane na związanie obrzyna i w idealistycznej naiwności, zupełnie ignorując psychologię niemiecką, wzmówiono sobie, że Niemcy sami dobrowolnie staną się narodem pokojowym, cywilizowanym. Uchyłono się od rozwiązania problemu niemieckiego, zamykając oczy na wszystko. Traktat Wersalski był w całym znaczeniu tego słowa dziełem defensywnym.

Po tej samej linii, z wielokrotną słabością Traktatu, po linii defensywy szła polityka państw zachodnich przez okres powersalski. Na każdym kroku czyniono ustępstwa Niemcom, nie chciano widzieć ich notorycznej zlej woli, obojętnie patrzono na rozwyrzzenie nienawisci, zemsty, kłamstw o niezwykłości niemieckiej i o okrucieństwie zwycięzców. Tuczono Niemców gospodarczo. Niezwykle znamieną oznaką nastawienia defensywnego anglo-francuskiego była teza obronnej linii Renu lecz i z niej ustąpiono, ewakuując Nadrenię, a jakoby symbol defensywy pozostało utwierdzenie linii Maginota. Czyż to nie jest jaskrawa analogia do „Limes Romanus“?

Zaniedbano to wszystko, co leżało poza Renem. Na wschód od Niemiec jako najważniejsze z nich wysuwała się Polska. Dając jej odpowiednie obronne granice, wzmocniając gospodarczo i militarnie, można było znaleźć partnera, doskonale uzupełniającego system anglo-francuski. Tymczasem dla Polski zrobiono tak dobrze jak nie, pozostawiając ją własnym siłom, co nie mogło wystarczyć wobec kolosa niemieckiego i zagrożenia od tyłu przez bolszewików. Inna rzecz, że i polska polityka nie umiała uniknąć błędów, które jednak okazują się drobnymi w stosunku do grzechów demokracji zachodnich. Z tym wszystkim jest znamienne, że Niemcy zanim uderzyły na zachód, uznały za niezbędne opanować Polskę, co przy bierności państw zachodnich udało się stosunkowo łatwo i szybko. Defensywny Traktat Wersalski i jeszcze defensywniejsze postępowanie powersalskie skończyły się tym, czym się ongi skończyła postawa defensywna Imperium Rzymskiego, czym się osta-

tecnie, z istoty swojej kończy każda defensywa. Fale germańskie uderzały w nie bezustannie a chociaż odierane, lecz nie opanowane u źródła, zalały je i zlamaly. Tak i teraz napór niemiecki zlamal Francję i zalał cały kontynent, na szczęście w ostatniej chwili powstrzymany przez postawę angielską i pomoc amerykańską.

Pośród sloganów, jakimi bolszewicy karmią swoich i obcych, znachodzi się i ten, że ZSSR oparla się najazdowi czterem narodom. W rzeczy samej były to narody w rodzaju Estończyków lub Łotyszów, wielkie państwa jak Francja, Anglia, Japonia nigdy nie wystąpiły przeciw komunistom z poważnymi siłami. Jedynym przeciwnikiem, z którym im wypadło walczyć na serio, była Polska, a ta wojna skończyła się pokojem ryskim który wolno nazwać kompromisowym. Gdyby Polska w r. 1919 i 20 była otrzymała chociaż tę pomoc anglo-francuską, jaką roztrwoniono na rzecz strupiej alej kontrrewolucji Denikinów czy Wranglów, byłaby prawdopodobnie pokonała doszczętnie bolszewików. Pozostawiona własnym siłom, oparla się im przynajmniej i zamknęła ekspansję na zachód i to mimo wszelkiej współpracy niemieckiej z Rosją Sowiecką. Stało się to w wielkiej mierze pod wpływem mentalności polskiej, niedostępnej dla propagandy komunistycznej. Pod osłoną Polski kraje położone pomiędzy Rosją a Niemcami mogły utrzymać niepodległość. Dopiero kiedy jej nie stało, Niemcy i Bolszewia rozebrały je pomiędzy siebie, przy czym tamtych przypadła „la part du lion“. Nie wyraźniej nie dowodzi stanowiska kluczowego Polski w środkowej Europie.

Bolszewizm w Rosji od czasu pokoju Ryskiego pozostawał nienagabywany od nikogo. Przez te lat dwadzieścia dowiódł, że nie tylko nie jest w stanie dopełnić żadnego z przyrzeczeń jakimi szafował tak hojnie — nawet Wells stwierdza to w swojej historii — ale doprowadził do stanu, nie mającego równego sobie pod względem materialnego i moralnego upadku człowieka. Żadna na świecie despotia nie była tak okrutna, żaden ustroj nie wytworzył tak ostatecznej nędzy. Z tym wszystkim bolszewizm nie przestał być ekspansywny. Pod oszukańczym hasłem, jakoby kraje burżuazyjne czyhały tylko na moment, by napaść na proletariata, postawił ogromną machinę wojenną, podziwu godną, a chwilowo zniewoloną służyć nawet dobrej sprawie. Dalej, żerując na przeciwieństwie pomiędzy światem kapitału i światem pracy w Europie, wyzyskując chciwość jednych a zazdrość drugich, naiwność wszystkich, potrafił stać się sui generis at-racją w krajach cywilizowanych. Że bolszewicy nie szkodzą miliardów w tym celu, rozumiemy. Że nie znający Rosji robotnik dał się otumanic, również tak samo, że jak wszędzie, tak i tutaj znaleźli się spekulanci polityczni. Co jednak rzec o tych inteligentach w Anglii, Francji, Ameryce co w dobre wierze kokietują bolszewizm? „Novum rerum cupidi“, powiedział jeszo-



Cezar o Gallach. Bądź co bądź, dzięki powyższym okolicznościom, przy całym swoim prymitywizmie, przy stanowisku bezwzględnie negatywnym wobec wolności, prawa, religii, demokracji — bolszewizm stał się drugim niebezpieczeństwem, zagrażającym cywilizacji. I podobnie jak świat chrześcijański w VII w. i później nie umiał sobie poradzić z muzułmaństwem i uległo mu na konie Imperium Rzymskie na Wschodzie, tak dzisiaj widzimy bezradność świata cywilizowanego wobec komunizmu, bezradność przez lat dwadzieścia, tak przebiegle wyzyskiwaną przez Hitlera. Obecnie zaś wskutek konieczności obrony przed bezpośrednim niemieckim zagrożeniem, doszło do współdziałania nieuniknionego; czy jednak traktowanego dość ostrożnie?

Tutaj zachodzi wyraźna różnica pomiędzy bolszewizmem a Islamem, nie jedyna zresztą, historia bowiem nie powtarza się mechanicznie. Mahometanoizm sięgnął tylko tak daleko, jak jego zdobycze wojenne, podobnie jak hitleryzm. Bolszewicy wprowadzili też zawładnęli tylko tymi krajami, gdzie mogli wprowadzić swoje wojska, jak do krajów bałtyckich, ale na ziemiach zachodniej Europy znaleźli tysiące zwolenników. Ludzie ci, komuniści francuscy i angielscy podporządkowują interesy własnej ojczyzny moskiewskim dyktatorom. Aż do napaści Hitlera na Rosję wołali o pokój z Niemcami i sabotowali wojnę, później nieustannie wołali o front zachodni, co zrobili jutro? Są oni przede wszystkim komunistami, a dopiero pobocznie Anglikami, Francuzami itp.

Chwilowe braterstwo broni w stosunku do bolszewizmu nie powinno zaslepić, oświadczenia choćby najuroczystsze Stalina nie mogą nam maskować rzeczywistości jaką jest ekspansja komunizmu i tej ekspansji konieczność wewnętrzna. Niedostępne są dlań ludy, które poznały regim Stalina: Polacy, Litwini, Łotysze, Estończycy. W środkowej Europie istnieją jednak kraje, w których po przegranej wojnie prawdopodobnie wybuchną zapalne ogniska bolszewizmu. Są to Niemcy ze swymi satelitami. To będą etapy postępu komunizmu w Europie. Nie trudno sobie wyobrazić, jakby świat wyglądał gdyby półwysep bałkański, może i apeniński a z drugiej strony Morze Północne na niemieckim odcinku stanęły pod znakiem sierpa i młota. A jakby było z Środkowym Wschodem, jak z Indiami?

To zaś zupełnie jest jasne, że każdy

kraj który zostaje komunistycznym, tym samym popada w barbarzyństwo, bo zaprzecza wolności człowieka. I oto jest drugie niebezpieczeństwo, druga przepaść jaka się otwiera przed cywilizacją. I tutaj zamykać na to oczy, wmawiać sobie, że nie istnieje ono, lub że jest przesadzone, będzie tą samą co wobec Niemiec polityką strusia i doprowadzi świat na dno otchłani. I tutaj nie podobna poprzestać na defensywie.

Wojna skończy się pogromem niemieckiego zamachu na cywilizację. Przyjdzie traktat pokojowy i okres pokoju. Jeżeli traktat będzie defensywny jakim był Traktat Wersalski, jeśli defensywę zwycięzcy będą uprawiać podczas pokoju, jak to czynili w okresie powersalskim, to skutki będą takie same. Niemcy okrzepną w siłę, i jak hordy germańskie nie od razu ale powtarzanymi najazdami złamały Imperium Rzymskie, tak i Niemcy ostatecznie złamią opory i zapanują nad Europą i nad światem.

Nie wystarczy pobić Niemcy, co tylokrotnie robili Rzymianie. Trzeba przeprowadzić to, czego ci nie wypełnili, chociaż mogli, trzeba podbić „toutes les Allemagnes“ i wstawić w system „Pax Britannica et Americana“ jako na razie bierny zupełnie członek.

Niemcom można dać radę samymi siłami wojskowymi. Nigdy nie uda się to w stosunku do ruchu ideowego, jakim jest komunizm. Jego materialnej siły trzeba oczywiście przeciwstawić także materialną siłą obronną. Może nią być odpowiednio zorganizowana Europa środkowa z Polską jako strażą przednią. „Antemurale civilisationis“ jest ostatecznie identyczne z przedmurem chrześcijaństwa. Atoli ideowej siły komunizmu trzeba przeciwstawić także siłę duchową. Będzie nią wolność w przeciwstawieniu do despotii i terroru, nie inaczej jak w stosunku do Niemców.

Wszakże punkt ciężkości komunizmu polega na stronie gospodarczej. Tutaj wypadnie demaskować kłamstwo bolszewizmu, otwierając oczy światu, czym ten ustrój jest naprawdę: kapitalizmem państwowym, opartym na żandarmstwie i trzymającym w upodleniu niewoli i nędzy 180 milionów ludzi, oraz wykazując, że to są nieuniknione skutki dyktatury proletariatu. To będzie postawa obronna. Lecz nie wystarczy poprzestać na niej.

Potrzeba ofensywy, ofensywy nie militarnej, lecz ideowej. Błędnej idei komunizmu trzeba przeciwstawić prawdziwą ideę sprawiedliwości społecznej.

I to nie w celach propagandowych, nie dlatego, że można przez nią uzyskać zwycięstwo nad bolszewizmem, lecz ponieważ ta idea jest prawdziwa. Dopiero w świetle i na zasadzie sprawiedliwości społecznej, zasady równości, wolności i braterstwa osiągną pełną wartość i pełnię skuteczności. Przyznać wypadnie otwarcie że tej sprawiedliwości społecznej nie było dotychczas lub nie było w dostatecznej mierze jak to być powinno, jak tego wymaga rozwój życia. Mechanizacja od lat dwustu wyolbrzymiła fortuny bogatych i pogłębiła biedę ubogich, i co za tym idzie, sprowadziła nadużycie przewagi wraz z pychą i pogardą ze strony pierwszych, czemu odpowiedziała nienawiść i zazdrość ze strony drugich. Najzłobniej przy tym odbiło się nadużycie chrześcijaństwa, gdyż z religii ubogich, jaką była zasadniczo, z religii sprawiedliwości niektórzy ludzie zrobili narzędzie władzy i ochronę bogaczy, przynajmniej w praktyce. Znalazło się oczywiście i teoretyczne uzasadnienie egoizmu gospodarczego w postaci prawa popytu i podaży. Rozwój cywilizacji począł przewycięzać te pozornie niewzruszone podstawy materializmu gospodarczego. Samoobrona świata pracy w postaci związków zawodowych, prawodawstwo socjalne, redukcja wielkich majątków przez wysokie opodatkowanie itp., są to zdobycze sprawiedliwości społecznej. Teoretyczne uzasadnienie znajduje to w postaci solidaryzmu społecznego encyklik papieskich itd. Wszystko to posiada swoją wartość, jednak są to dopiero początki, pierwsze kroki, kamienie milowe ku pełni tej sprawiedliwości. Jeśli gdzie, to właśnie tutaj nie wystarczy mówić mądrze i pięknie, ale właśnie sprawiedliwość społeczna wymaga realizacji. To zadanie staje wobec narodów cywilizowanych doby dzisiejszej jak stanęło pod koniec w. XVIII zagadnienie równości i wolności obywatelskiej. I od niego zależy, czy przyszłe pokolenia pójną drogą postępu, czy popadną w barbarzyństwo bolszewizmu.

Nie wiemy, czy się to spełni. Jeśli nie, to świat czeka podobna klęska, jaka spadła na Imperium Rzymskie i cywilizację naszą; podobna zagłada, jaka runęła na świat grecko-rzymski. Dzisiaj jeszcze mamy wybór pomiędzy cywilizacją a barbarzyństwem. Dzisiaj jeszcze narody cywilizowane mają i moralną i materialną przewagę. Jutro mogą jej nie mieć. Jutro może być za późno.

X. Kamil Kantak

# p r a w o



AZWYCZAJ dzielimy prawo na prawo obiektywne t. j. przedmiotowe które obejmuje zespół norm prawnych, — i na prawo subiektywne, czyli podmiotowe, będące refleksem pierwszego i które zawiera ogół uprawnień, to jest zakres mocy, lub władzy, wynikającej dla obywatela, na podstawie prawa przedmiotowego. Każdy jednak, kto po raz pierwszy te ogólnie przyjęte określenia usłyszy zada sobie pytanie, czy, gdy prawo podmiotowe wynika z przedmiotowego, nie ma żadnego innego prawa, norm wyższego rzędu, którym podlegać powinny ustawy, o ile nie dotyczą one dziedziny wyłącznie przepisów technicznych, formalnych i aktualizują zagadnienie, może zada sobie również pytanie: w imię jakiej zasady lub zasad rozstrzygać należy wypadki kolizji między dwiema ustawami, z których

jedna np. przyznaje prawo do życia pewnym jednostkom, druga zaś prawu temu zaprzecza i pozytywnie prawa tego ich pozbawia.

Współczesna nauka prawa, dając podział prawa i tworząc jego hierarchię, zatrzymała się na ustaleniu podstawowym podziału prawa na podmiotowe i przedmiotowe / czyli pozytywne / i w ostatnim uznała niezbędny i dostateczny dla człowieka jego statut prawny. Jeśli chodzi o kolizję ojczyźstego prawa pozytywnego z prawem obcym, zagadnienie to zostało przekazane technice współżycia międzynarodowego bez ustalania w „prawie narodów“ obowiązujących kryteriów prawnych wyższego rzędu.

Naogół przyznaje się istnienie „zasad ogólnych“, ogólnie przyjętych „pryncypiów“, jednak przesuwają się je do sfery moralnej, odmawiając im nazwy „prawa“. Dlaczego? Skąd to zmonopolizowanie pojęcia prawa dla ustawy tylko?

ISTNIENIE podstawowych zasad prawnych założył w swym systemie św. Tomasz z Akwinu i uznał ponad ustawą (lex) istnienie prawa wiecznego (ius aeternum), którego jednym z wyrazów jest prawo naturalne (ius naturale), do którego poznania dochodzi człowiek drogą naturalną, a więc drogą obserwacji i introspekcji, jako głównych metod ludzkiego poznania.

Przyjrzyjmy się pokrótce zagadnieniu genezy i rozwoju pojęcia prawa naturalnego. Przed myślicielami greckimi nikt się nie zajmował tym zagadnieniem. Podstawa światopoglądu hinduskiego polegała na zlanii się ducha ludzkiego z duchem świata. Pogląd taki nie stwarzał gruntu, aby pojęcia jednostki uprawnionej i prawa naturalnego mogły wogóle powstać. Rygorystycznie stosowany podział na t. zw. kasty, według ściśle określonych zajęć, co najmniej zaprzeczał jeśli nie uniemożliwiał całkowicie spojrzenie na człowieka jako na samodzielną i niepodzielną, to znaczy indywidualną całość, posiadającą właściwe sobie prawo do istnienia i do rozwijania swej osobowości, poza siecią drobiazgowych przepisów, które na jednostkę nakładała przynależność do danej grupy, do której człowiek wchodził przez fakt urodzenia się z rodziców należących do tejże grupy. Teokracje świeckie, z władcami ubóstwionymi, czerpiącymi natchnienie bezpośrednie, w swoim rozumieniu, od bóstwa lub z tradycji przywódców hord koczowniczych i półkoczowniczych, w żadnym wypadku nie ścierpią ograniczenia na rzecz jednostki swego samowładztwa i jedynowładztwa. Taki stan będzie klasycznym typem ustrojów państwowych w ciągu dziesiątków stuleci w Egipcie, w większych lub mniejszych tworcach państwowych Azji Mniejszej i Bliskiego Wschodu. Powtórzy się on zawsze wtedy i tam gdzie upada lub zanika ocena wartości człowieka i jego godności.

W teokracjach w ścisłym znaczeniu t. j. typu żydowskiego, pojęcie Boga i Jego wszechwładzy pochłonie jednostkę pomimo „przymierzy“ zawieranych przez Jehowę z narodem izraelskim, które to „umowy“ błędnie poczytują niektórzy jako dowód idei praw jednostki, występującej w tych „układach“ w charakterze strony.

GRECZY nie mieli ani wyrobionego kodeksu praw, ani zbioru praw, pierwsi jednak i stosunkowo prędko odczuli w sobie wartość samodzielnego myślenia i ocenili wartość człowieka, jego rozumu i procesu myślenia. Gdy na Wschodzie, u Żydów głównie, zjawiają się prorocy, którzy przemawiać będą nie w swoim imieniu, ale w imieniu Bożym, w Grecji przemówią mędrzy, filozofowie, to jest ludzie, którzy ukochali mądrość, którzy głosić będą swoją wiedzę w swoim imieniu. W Grecji, po raz pierwszy w dziejach zjawia się

kult człowieka, ale nie takiego, który wyniesiony został ponad innych przez to, że posiadał władzę, ale człowieka — dla jego ludzkiej natury, w której zawarte są wartości dane przez Boga, czy przez naturę, często utożsamianą z bóstwem. Gdy Izraelici stworzą „pozytywny“ kodeks — Torę, która w okresie judejskim uczyni z nich „naród Tory“, czyli naród pisanego prawa, Grek starać się będzie z Bożej iskry (daimonion), tlejącej w naturze człowieka sam zbudować system współżycia obywateli.

Grek wcześniej wylamuje się z okowów zależności rodowej i plemiennej, lecz szybko wraca do społeczeństwa, wszakże nie jako burzyciel, lecz jako świadome wartości swych i społeczeństwa ludzkiego indywiduum, jako jednostka pełnowartościowa pod względem politycznym, obywatelskim i duchowym.

U podstawy indywidualizmu greckiego tkwi poczucie godności człowieka, opartej na wartości jego natury ludzkiej. Miarą tej godności ma być *stopień*, w jakim człowiek wartości te chce i umie w sobie rozwinąć. I dlatego Platon, jeden z największych myślicieli, jakich wydały dzieje, poucza w swym traktacie „O państwie“, że kierować ludźmi powinni mędrcy tworzy cały system wychowania obywateli, dający możność eliminowania jednostek pod względem moralnym i umysłowym miernych, — a dobru elity, którą należy postawić na odpowiedzialnych stanowiskach w państwie. W tej myśli Platona krystalizuje się ostatecznie idea grecka jednostki.

Gdzieindziej (w dialogu „Memnon“) Plato opowiada epizod z niewolnikiem, od którego żądano, aby narysował kwadrat dwukrotnie większy od przedstawionego wzoru. Prostak wywiązał się z zadania dzięki pytaniom naprowadzającym. Na tym przykładzie Plato chciał okazać, że w każdym człowieku tkwią właściwe wyobrażenia o rzeczach, również sądy etyczne, które przebywają w jego umyśle, jakby w uspieniu, i że można je wprowadzić do świadomości przez samo wypytywanie i przypominanie. Dla Platona człowiek nie był jedynie splotem elementów przyrodniczych.

Istotę myśli Platona przejął filozof rzymski i mąż stanu, Cyncero. Według niego dusza i wszystkie pojęcia pochodzą od Boga, a więc wszystko to dar i pomysł Boży (donum et inventum Dei), a nawet natchnienie poetyckie odbywa się nie bez niebiańskiego wpływu (sine coelesti aliquo instinctu). Za pojęcia wrodzone, wyrte w duszy człowieka Cyncero poczytywał idee: Boga, dobra, cnoty, sprawiedliwości, nieśmiertelności duszy.

Przez Cyncerona nauka o ideach i prawie naturalnym przeniknęła do myśli chrześcijańskiej, która dążąc do pogodzenia wiary z rozumem, prawdy nadprzyrodzone uzasadniała na podstawie teorii filozoficznych grekorzymskich. Zresztą, o wartości duszy człowieka chrystianizm wiedział już wcześniej, z nauki Chrystusa Pana, o synostwie Bożym człowieka i miłości Boga do człowieka, o której pierwsze pokolenie chrześcijan przekonało się z agonii w Getsemane i cierpień na Golgocie.

**N**AJWYBITNIEJSZYMI przedstawicielami teorii prawa naturalnego w Średniowieczu byli: św. Augustyn i św. Tomasz z Akwinu. Pierwszy świat idei Platona koncentrował w Bogu, który jest Twórcą wszystkiego według odwiecznie powziętych zamiarów, w nim ten świat idei wiecznych tkwi niezmiennie. Św. Augustyn nadto twierdził, że do poznania tych prawd niezbędne jest „oświecenie Boże“. O poglądzie św. Tomasza była mowa wyżej.

W wieku XVII teoria idei wrodzonych (idées fixes) a zarazem prawa naturalnego znajduje najwybitniejszego przedstawiciela w wielkim filozofie i matematyku, jakim był Leibnitz, a w wieku XVIII ta sama idea w poździe rewolucji rozlegnie się potężnym echem, jako hasło: „droits inalienables et sacrés de l'homme“.

Współczesna nauka prawa omal powszechnie twierdzi, że nie ma żadnego prawa naturalnego tak samo jak nie ma żadnych idei wrodzonych, bowiem całości treść ducha ludzkiego pochodzi z zewnątrz i dochodzi do nas za pośrednictwem zmysłów, a pozątem, że historia prawa nie wykryła żadnych stałych i powszechnie obowiązujących norm prawnych.

Nie wdając się na tym miejscu w szczegółowe rozważanie powyższych twierdzeń należy przyznać, że nie ma żadnego „kodeksu“ prawa naturalnego, któryby był wyrty w duszy człowieka i wypowiadał się zawsze niezmiennie i powszechnie w dziejach ludzkich. Dzieje być może potoczyłyby się inaczej gdyby obiektywnie powstał taki kodeks i była przywiązana do jego norm sankcja. Zdaje się że w czasach współczesnych budzi się pragnienie, aby taki kodeks powstał i według niego w wypadku naruszenia normy były oceniane czyny ludzkie, nie tyle indywidualne, ile zbiorowe i wymierzane sankcje.

**J**ESLI niepodobna uznać, w obecnym stanie nauki, istnienie idei wrodzonych, to jednak z drugiej strony natura ludzka ujawnia dyspozycje, skłonności, dążenia, które najpełniej i najszlachetniej wyrażają jej istotę jako żywego, niepodzielnego, rozumnego organizmu. Najbardziej istotnymi zasadami tak pojętego prawa naturalnego są: prawo do życia, do wolności, prawo prokreacji, założenia rodziny i możności jej zachowania, prawo własności, to jest dysponowania rzeczą. Z tych podstawowych zasad wypływają konsekwentnie inne, np. prawo do godziwej zapłaty za pracę, wolność w wyborze pracodawcy. Ostatnie ujawniło się np. w dziejach Rzymu wtedy, gdy zwolniony spod władzy swego pana

niewolnik pozyskał prawo porzucenia zatrudnienia u niego (z reguły płatne) i szukania zatrudnienia u kogo innego na lepszych warunkach lub założenia przedsiębiorstwa na własną rękę. Fakt taki może często niezgodny z zamiarami Pana, który w celach osobistych wyzwolił niewolnika, oceniał Rzymianin, jako „zgodny ze słusnością“, w której widział konsekwencję uzyskanej przez niewolnika wolności. W tej „słusności“ Rzymianin widział jeden z przejawów prawa człowieka, t. j. prawa naturalnego.

Prawo naturalne nie stanowi pozytywnego zbioru norm prawnych. W znaczeniu prawniczym prawo to tkwi w naturze człowieka negatywnie, z tym skutkiem, że człowiek nie kierujący się i nie kierowany normami prawa pozytywnego, opartego na podstawach prawa naturalnego, przestaje być człowiekiem.

Ten fakt wystarcza, ażeby uznać konieczność nie tylko bytu prawnego prawa naturalnego, lecz również jego działania, jako norm podstawowych regulujących warunki istnienia człowieka i współżycia obywateli.

Zygmunt Blenau



Stało się już zupełną banalnością stwierdzanie, że świat cały przechodzi kryzys tak powszechny, iż żadna z dziedzin ludzkiego życia nie jest od niego wyłączona. Życie indywidualne każdego z nas i całe nasze życie zbiorowe podlega wstrząsom; zapada się w przeszłość świat, który nas dotąd otaczał, w którym żyliśmy, do którego zdolałszy przywyknąć. Mówią jedni, że tak zapewne wyglądała epoka upadającego Rzymu, kiedy konał świat starożytny, prerafinowany w kulturze ale upadły cywilizacyjnie; mówią drudzy, że chaos stworzenia świata, zanim Boży zapanował porządek, podobny był chaosowi dnia dzisiejszego. Ale dyskusje i spory zaczynają się dopiero od próby określenia charakteru tego kryzysu światowego, którego koniec każdy dzień niewątpliwie przyspiesza a każda nadbiegająca godzina zbliża jasność dnia nadchodzącej epoki. Jedni, zapatrzeni w krąg materialnych potrzeb, nie wybiegający wzrokiem poza linie doczesnego bytowania, przejęci kultem materii, dowodzą, że najistotniejszym znamieniem tego przewrotu, jest zachwianie się gospodarczej równowagi, świata, że wystarczy dokonać na światową skalę porozumień ekonomicznych a świat automatycznie wróci do równowagi i dobrobytu takiego, o jakim wyobrażenia ludzka dotąd nie miała pojęcia. Uzbrojeni w niekończące się szeregi cyfr, wskazują, jak to łatwo rozdzielić wszystkie dobra ziemskie, wszystkim członkomrodzaju ludzkiego, aby szcze-

# Ł O W O i P O Z Ó R

ślivość niebiańska zapanowała na tym nieszczęsnym globie. Są inni, którzy za nieszczęście świata uważają istnienie wielu narodów i formacji państwowych i radziby nagle, z dnia na dzień, zamknąć wszystkie od wieków rozwijające się narody o starych, kilkudziesięciu nieraz wieków sięgających kulturach, w ramach jakiejś wspaniale na papierze wyglądającej organizacji, i wierzą głęboko w to, że tylko tym sposobem osiągnie się na ziemi pokój i szczęśliwość. Są jeszcze inni, którzy w ustrojach gospodarczo-społecznych, istniejących dzisiaj jako wynik przeszłych ewolucyj i bardzo wielu różnorodnych czynników, skłonni są widzieć najistotniejszą przyczynę obecnych wstrząsów, gnębiących ludzkość całą bez wyjątku.

Jak w każdej ludzkiej sprawie, w każdej z tych opinii zawiera się część prawdy. Jeśli bowiem kryzys jest powszechny, na co godzą się wszyscy, a więc obejmujący nie tylko wszystkie obszary ludzkiego bytowania, ale także wszystkie dziedziny ludzkiego życia, to rzecz prosta — dotyka on i strony gospodarczej życia, i ustroju społecznego, i ustrojów politycznych. Ale istota jego głębiej sięga i leży w duszy człowieczej.

Przewrót bowiem, który przechodziłmy ma przede wszystkim znamiona moralne, a przez to obejmuje całą istotę ludzką i całe życie zbiorowe każdej formacji narodowej na całym globie. Najpotężniejszy przebieg ma on na kontynencie europejskim ze względu na szczególną wagę tego kontynentu w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości, oraz z powodu przodowniczej roli Europy, do dziś pełnionej wobec niemal połowy ludności całej kuli ziemskiej. Polega zaś ten kryzys na tym, iż wiązania moralne, które siłę dawały jednostkom i narodom, rozluźniły się lub rozpadły, przez co człowiek tak

w życiu indywidualnym jak zbiorowym utracił równowagę.

To zejście na bezdroża polega na oderwaniu się człowieka od wieczności. Taka jest już natura ludzka, iż każdy bez wyjątku człowiek potrzebuje mocnego oparcia się o wartości stałe, nieprzemijające, wieczne, wartości takie, iż wiara w ich niezawodność w każdej chwili jest nieodzowną każdą jednostką. Ponieważ w zasadzie prawa moralne rządzące jednostką odnoszą się w jednakiej mierze do zbiorowości, przeto i zbiorowość, w swoim własnym, odrębnym od życia jednostki niezależnym życiu, te same prawa moralne posiada, a więc w życiu zbiorowym istnienie tej samej wartości stałej, wiecznej i nieprzemijającej jest nieodzowne. Przeciw tym prawom, odwiecznie rządzącym życiem indywidualnym i zbiorowym żadne istnienie jednostkowe i zbiorowe możliwe nie jest.

W Europie od XVIII wieku krąg wieczności, w obrębie którego dotychczas rozwój narodów europejskich się odbywał zamieniony został na wartości doczesne a jednostka ułomna i śmiertelna uczyniona została ośrodkiem całego życia. Przez długi czas nie rozumiano tego, na jak fałszywą drogę pchnięto siebie samych i upajano się pozorami i triumfami. Kult ludzkiej jednostki święcił poprostu orgie. Indywidualizm podniesiono do godności dogmatu, a zapomniano o osobie ludzkiej włączonej w procesy wieczne wszechświata. Zdałoby się, iż jest paradoksem, iż ta właśnie, fałszywa linia rozwojowa, w konsekwencji kultu jednostki, doprowadziła do najokrutniejszej jej niewoli w systemie bezbożnego komunizmu. Brak więzi moralnej ogólnej i powszechnie uznanej rzucił ludzi na siebie w szereg wojen, z których każda okrutniejszą była od drugiej i z coraz mniejszą ilością obowiązujących powszechnie reguł prowadzona. Wojna współczesna jest chyba najbardziej barbarzyńska, jaką dzieje oglądały, a wynaturzenie człowieka doszło chyba do zenitu. Jest ona również wyrazem najtragiczniejszych konwulsyj, przez które człowiekowi, dążącemu do równowagi moralnej, przejść przyszło.

W tym rozprzężeniu moralnym jednostki i zbiorowości najistotniejszym jest zatracenie zupełne poczucia wartości

słowa. Słowo, najbardziej ludzki przywilej człowieka, doznało największego poniżenia, jakie tylko wyobrazić sobie można. Instrument wyrażania myśli, najbardziej boskiego pierwiastka w człowieku, wynoszący człowieka ponad zwierzęce gromady, czyniący człowieka istotnie panem stworzenia, został użyty przeciw człowiekowi samemu przez niego samego na własną zgubę i potępienie. W tym upadku słowa leży, być może, najgłębsza istota współczesnie przeżywanego przewrotu. Usunięcie wartościowego słowa musiało spowodować w konsekwencji posługiwanie się pozorami, wprawdzie miały one formę słowa, ale tylko wzrokowo i dźwiękowo. Słowem nie były, gdyż dźwięk przestał treści odpowiadać. Świat rzeczywistości, pełnej grzechu, błędów i ułomności, jak wszystko co ludzkie, ale zaczepiony o wartości nie przemijające i ku wieczności dążący, stał się światem pozorów, ułud, kłamstwa. W miejsce jednej Prawdy określonej jednym słowem, jednakowo zrozumiałym przez wszystkich uznanym, powstało naraz tyle prawd ile ludzi, tyle słów ile jednostek, każde inaczej brzmiące, każde inną treść zawierające. Powstał labirynt moralny w którym człowiek prędzej czy później zgubić się musiał.

Stało się czymś całkiem naturalnym, że mówiono słowa po to, aby ukryć myśli a nie po to aby myśli swą wyrazić. Podniesiono nawet te metody do godności szczególnej umiejętności, wzbudzającej szacunek i powoli nikogo to już nie raziło i każdy przyjmował ten stan rzeczy jako najzupełniej naturalny. Doszliśmy wszyscy do takiego stanu zakłamania, iż prawda wypowiedziana przestała wzbudzać jakąkolwiek wiarę.

Uczynki za które niegdyś wrywano język i pod pręgierz stawiano stały się pełne chwały i zazdrości godne. Grzech stał się cnotą. Minęły czasy błędnych rycerzy szukających Graala, symbolów znamienitych wędrowni człowieka ku doskonałości, przyszły czasy bezdusznych lichwiarzy słowa, ciągnących ludzką całą ku przepaści, do której stoczyła się obecnie.

W tym upadku słowa leży najgłębszy chyba sens upadku cywilizacyjnego Europy. Bo właśnie w kręgu cywilizacyjnym tego kontynentu, ukształconego przez Kościół Rzymski, panowało poszanowanie słowa, które dało nam wspaniałe rycerstwo i szeregi świętych. Słowo bowiem wiodło nas ku pełnemu rozwojowi wszystkich wartości indywidualnych i zbiorowych, słowo właśnie wydobywało z duszy naszej największe bogactwa, aby stały się własnością ogółu i skarbnicę całej ludzkości pomnażały.

Upadek słowa w kręgu cywilizacji europejskiej jest triumfem Azji nad Europą. W zasięgu bowiem cywilizacji azjatyckiej wyrobiło się, że słowo służy do podstępów, do ukrycia myśli właściwej, do oszukania przeciwnika, podejścia wroga, zmylenia nawet przyjaciela. To właśnie w Azji słowo najbardziej służy jako pozór, maskujący rzeczywistość.



Nikt bardziej chyba jak Polska nie rozumie tych prawd przewrotu światowego. W Polsce bowiem skupiły się od dawna niezmiernie silnie wszystkie walory cywilizacji europejskiej, niezmiernie szybko przez nas sobie przyswojonej, pomimo dystansu kilku wieków dzielących nas od początku rozwoju innych narodów europejskich. Nikt bardziej jak my nie jest w stanie ocenić, jak wielki wpływ wywarła Azja na ten kryzys, który Europa i kraje europejskiej cywilizacji przechodzą.

Rycerstwo nasze tak w Średniowieczu jak i czasach nowożytnych pielęgnowało i przechowało najpiękniejsze tradycje Zachodu. Parol rycerski a później szlachecki miał u nas walor przysięgi.

Myśmy od zarania naszych dziejów walczyli z Niemcami dla których słowo nie stanowiło nigdy żadnej wartości. Od fałszerstwa dokumentów, a później papieskich wyroków, rozpoczął u nas swoją działalność przewrotny Zakon Krzyżowy. Brandenburczycy i Prusacy celowali w oszukaństwo, krzywoprzysięstwo i wszelakiego rodzaju występki, podczas kiedy myśmy nawet z naszą własną szkodą, zachowali nie naruszone normy moralne Europy. Hitlerizm, jednoczący całe Niemcy, jest najwyższym wyrazem tej duszy niemieckiej, której nigdy wartości cywilizacji europejskiej nie były bliskie i nigdy przez nią przyjęte w istocie nie zostały.

Doświadczenia nasze z Moskwą przewyższają oczywiście doświadczenia wszystkich narodów europejskich. Nikt bardziej nie gardził słowem, nikt bardziej nie grał zawsze pozorami jak Moskwa, od wieków aż do dzisiaj. O Polsce silnej i niepodległej mówili jednak Piotr Wielki, kiedy terroryzował nas za Sasów, prawila Katarzyna II kiedy podpisywała traktaty rozbiorowe, ludzili Aleksandry i Mikołaje, wtedy

kiedy odbierali nam resztki samodzielności lub swobód, mówi dziś Stalin kiedy zbrojnie okupuje Polskę. Słowa ich nigdy nic nie znaczyły. Doświadczenie nasze dziejowe nam mówi, iż wiary ich zapewnieniom dawać nie sposób. Wszyscy naiwni, wierzący, najbardziej gorzkie mieli następnie doświadczenia i najboleśniejsze zawody. Zwłaszcza dziś, kiedy ustami Stalina przemawia nie tylko Rosja ale i bezbożny komunizm, będący szczytowym wyrazem upadku moralnego świata, tym bardziej słowa jego są tylko pozorami, mającymi przesłonić właściwą, najbardziej brutalną treść.

Jeżeli świat pojął dziś swój błąd i powoli powracać zaczyna do moralnej równowagi, co potrwać może i przez czas życia jeszcze jednego lub dwu pokoleń, jeżeli na tym dniu upadku moralnego, na którym dziś znajdują się wszyscy, widać już pierwsze oznaki powrotu do poszanowania wartości słowa, to najpierwsza rola w tym odrodzeniu przypada Polsce. Nie tylko dlatego, że z Polski bodaj pierwszy wyszedł głos o istocie tego wielkiego światowego przewrotu, ale dlatego, iż najżywiej u nas kwitły wartości europejskiej cywilizacji i największe było zrozumienie niebezpieczeństw, tej cywilizacji groźących, przed którymi ochraniałyśmy zawsze całą Europę.

Jeśli dziś sprawa Polski wysuwa się na plan pierwszy spraw światowego zasięgu, to nie jest to przypadek ale konsekwencja waloru polskiego zagadnienia w całym świecie.

Kryzys oczywiście samorzutnie się nie rozwiąże. Powrót do równowagi musi być celowo przeprowadzony. Ciężar przebudowy świata i Polski spadnie na tych, którzy dziś w młodzieńcze wchodzą lata i którzy niedługo nasze zajmą miejsca. Nie tylko jednak rozumem winni oni objąć całość tych przeobrzynych zagadnień, jakie do rozwiązania stoją a od których rozwiązania losy wielu pokoleń najbliższych stuleci zależą, ale posiadać muszą rozumienie najwyższe wszelkich wartości moralnych, rządzących życiem jednostki i życiem zbiorowym.

W obrębie tych wartości moralnych na czoło wysunąć będą musieli słowo, aby świat się powszechnie rozumieć znowu zaczął. Oni to muszą doprowadzić do tego, aby gdziekolwiek wypowiedziane słowo jednako miało treść dla wszystkich. Świat musi ponownie stać się światem rzeczywistym a nie światem pozorów. Słowo musi znowu być zwierciadłem myśli ludzkiej, wspaniałym instrumentem wypowiedzi człowieczej duszy. Wtedy, kiedy słowo odzyska swoje właściwe miejsce w hierarchii wartości życia człowieka, wtedy kiedy ponownie odbudowana zostanie więź moralna życia zbiorowego, w każdym narodzie i w całym życiu międzynarodowym, wtedy dopiero każda jednostka i wszelka zbiorowość poczuje się szczęśliwa i w dążeniu do wieczystych szlaków odnajdzie najgłębszy sens życia.

Adam Macielński

## Z A G U B I O N Y



Fragment polichromii

T.T.

## R O L A N D A R Ó G

Rozmiary europejskiej katastrofy są większe niżby mogły to wyrazić cyfry. Bowiem uległy zagładzie nie tylko miliony istnień i miliardowe dobra, ale nade wszystko pod naporem wojny padają resztki tych wartości duszy Europejczyka, bez których nie istnieje pełne człowieczeństwo.

Dziś tylko Polak woli raczej umrzeć niż żyć za cenę utraty poczucia godności.

Honor, najcenniejszy klejnot ludzi i narodów nie ostał się w tym laboratorium materializmu, odebrano mu połowę treści: wiarę. Tym mocniejszym blaskiem bije na świat luna nad Warszawą.

\* \* \*

Pojęcie honoru w europejskim rozumieniu tego słowa zrodziło się z nakazów etyki katolickiej i obyczajów rycerskiego, jako zespół obowiązków, których dopełnianie warunkuje pełne człowieczeństwo. Cnoty wojownika połączone z cnotami chrześcijanina stworzyły ten niepisany kodeks obyczajowy, który obowiązywał silniej, niż formalne prawa. Zrazu honor był kodeksem stanowym, co wynikało z charakteru epoki, w której jedynie stan szlachecki i duchowieństwo posiadały pewną aktywność polityczną i kulturalną; mieszc-

zaństwo i chłopcy byli ograniczeni do roli gospodarczej. Jest rzeczą zrozumiałą, że tylko ludzie niezahamowani w określaniu swojej pełni człowieczeństwa w szczytowych dziedzinach życia społecznego mogą go również określać w formie pielęgnowania obowiązków, wypływających z pełni poczucia godności ludzkiej. Albowiem niespaczone poczucie godności nie może kwitnąć bez przeświadczenia, że się dzierży swój los we własnych rękach, nie może kwitnąć, gdy się ma odebraną możliwość zdobywania korony życia: sławy.

Średniowiecze pozostawiając w spadku społeczeństwo stanowe przekazało stanowy honor, co nie zmniejsza jego bezmiernej wartości.

Bo choć nie bezcenną wartość miał ten honor Rolandów i Zawiszów, który nakazywał wierność słowu, wspaniałomyślność pokonanym i obronę niesprawiedliwie uciśnionym?

Czyż nie bezcenną wartość miał niepisany kodeks o autorytecie tak wielkim, że jego naruszenie powodowało śmierć cywilną?

Pojęcie honoru przeszło w ciągu wieków wiele przemian. Stan rycerski przekształcił się w zasobną szlachtę,

szlachta została wyparta ze swego przodującego stanowiska przez burżuazję i miejską inteligencję. Honor, choć uległ wypaczeniu, nie przestał być jednak kodeksem warstw szczytowych, które go odziedziczyły wraz z wieloma obyczajami od szlachty. Pojęcie honoru stało się jednak powierzchowne, sprwadając się niemal do przepisów dobrego wychowania obowiązującego towarzysko. W znacznej mierze do takiego pojmwania honoru przyczyniła się cywilizacja niemiecka w której honor stał się teatralną dekoracją junkierskiej buty. Wielkość wpływów niemieckiej cywilizacji w wieku XIX przyczyniła się w sposób znaczny do kształtowania się pojęcia honoru na całym kontynencie.

Zdrową ewolucję przeszło pojęcie honoru bodaj tylko w Anglii, gdzie „fair play gentlemen“ stały się odpowiednikami honoru i jego uosobienia rycerza doskonałego.

W Polsce, gdzie szlachta pielęgnowała rycerskie tradycje nie była klasą lecz jakby odrębną społecznością ułożoną w całym pionowym przekroju narodu, pojęcie honoru uległo demokracji w sensie znacznego przyswojenia jego treści przez wszystkie warstwy społeczne. Nie zdobyliśmy się jednak na zdrową ewolucję form, które obowiązując zresztą tylko wśród inteligencji, stały się nie tylko czymś dziwnym ale niekiedy czymś wręcz sprzecznym z treścią honoru. Trudno bowiem myśleć bez wstydu o mordowaniu bezbronnym ludzi po knajpach w obronie honoru munduru. Wpływy barbarzyństwa niemieckiego były tu widoczne w całej pełni.

W dzisiejszej prasie i publicystyce spotyka się dużo troski o odbudowę powojennego świata. Niestety rozważania wybitnych nawet publicystów nie są zazwyczaj pozbawione charakterystycznego dla obecnej epoki niedostrzeżenia elementów istotnych, choć trudno wymiernych. Pojęcie honoru stanowiło właśnie w naszej cywilizacji element niewymierny, ale posiadający wielkie znaczenie. Dlatego też myśląc o budowie wielkiego jutra należy zastanowić się nad możliwościami odbudowy nie tylko zabytkowych gmachów ale i wewnętrznych wartości ludzkich.

Polsce, która podczas tej wojny wykazała, że posiada wartości duchowe olbrzymie, że nie będąc mocarstwem jest przecież największym mocarstwem ducha, przypada rola stania się ogniskiem renesansu człowieczeństwa.

Sądzić należy, że pojęcie honoru musi się dostosować do form nowoczesnego życia i to do życia codziennego. Poczucie godności zawodowej może w dużej mierze zastąpić poczucie godności junkierskiej. Zasady „fair play“ obowiązującego w sportach winny obowiązywać we wszystkich dziedzinach życia tak politycznego jak prywatnego, a łamanie go winno podlegać sankcjom opinii publicznej w niemniejszym stopniu niż to miało miejsce wtedy, gdy honor był kodeksem stanowym.

Jan Krab

## POLSKA

Dawni augurowie, którzy wróżby słowem  
przejrzeli loty ptaków, wyjawiczy mogli  
czym były wśród pierzastych dziwów dwulicowe  
orły i czym był orzeł tak czarny zaiste.  
I kiedy bitne ptaki w boju spadły nadół,  
i gdy trop w trop za nimi sępy przyleciały,  
wiemy już co za łaska i jaki to pokój  
będzie wciąż w ryzach trzymał naszych władców małych.

Ludzie, kupczacy cudzych rąk gotowym tworem,  
jak sępy żrące wszystko co inni zabijają,  
zestawią pióro z piórem, dowodząc z uporem,  
że nic nie jest już czarne, a wszystko jest szare;  
tak szare jak gołębie, które raz zbrukane  
w rękach chciwych handlarzy, upadły z trzepotem  
przed gniewem Chrystusowym wśród trzasku łamanych  
stołów, kramów plugawych.

I po wieczne czasy  
zostało wyniesione to godło — od chwili  
gdy Bóg zapłonął gniewem wielkim i wspaniałym,  
i kiedy orły czarne oraz sępy szare,  
zawisły ponad domem heroicznej chwały,  
nad domem w którym nienawiść jest niż pokój,  
gdzie świętsza od miłości nienawiść zachwyca —  
tam to zabłyśn straszliwy jako sam Duch Święty  
orzeł zaprawdę bielszy niżli gołębicą.

Przekład Jerzego Pietrkiewicza

P A X  
R O M A N A

Współczesnym każda wojna wydaje się największą wojną a doznawane nieszczęścia największymi nieszczęściami. I my żyjemy pod takim doznaniem w chwili obecnej, zapominając, że nie dalej jak dwadzieścia lat temu przeświadczeni byliśmy, że nad wojnę ówczesną większej wojny być nie może i że w grozie i okropnościach tej wojny żadna wojna prześcignąć nie zdoła. Może wspomnienia spustoszeń i ślady zniszczeń ciągle niezatarte były przyczyną, że gdy przeznaczenie znowu kresliło nad ludzkością ponure mane, tekkel, fares — ze szczytów naszej społecznosci chrześcijańskiej ozwały się wołania o pokój. Cały świat przypominał sobie wtedy Boga w przeświadczeniu, że jeśli przyjdzie nowa wojna, to po tej wojnie nie będzie zwycięzców i zwyciężonych a tylko powszechna zagłada, powszechna nędza i upadek zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji.

Wojna jednak przyszła i im większe zwątpienie ogarnia ludzkość, tym głośniejsze są wołania o zapewnienie światu pokoju.

W tym dążeniu obecne pokolenie ludzkości nie występuje z nowością w pomysłach i z nowością w środkach. Jak daleko dzieje pozwolą cofnąć się wstecz, świat starał się o zabezpieczenie pokoju po każdej wielkiej wojnie, dobierając do tego celu tych, czy innych środków. Grecy może pierwsi mieli pojęcie powszechnego pokoju i starali się go utrzymać przy pomocy związków miast z słynnym związkiem delfickim na czele. Świat grecki był jednak mały i miał poza sobą państwa potężniejsze i działające na znacznie większej przestrzeni. Rzym stanął znacznie bliżej ideału Greków w rozmiarach i w środkach. Kiedy po wiekach podbojów we wszystkich częściach świata Impe-

rium zamknęło się w naturalnych granicach, mogło pokoleniu Augusta wydawać się, że cały ówczesny orbis terrarum od Szkocji po skalną Arabię, od Słupów Herkulesa aż po morze Czarne ogarnęła „Romanae Pacis Maiestas“. To było jednak złudzenie i sami Rzymianie wyzuci z idealizmu w ten ideał nie wierzyli.

Wśród spustoszeń i klęsk spustoszenie Rzymu w r. 410 wydawało się zapowiedzią końca świata i zrodziło tęsknotę wiecznego pokoju. Wtedy też z doznań i zwątpień, z rozterki i cierpienia zrodziła się u genialnego Augustyna myśl urzędzenia państwa Bożego na ziemi. Wiadomo, że żadne dzieło nie przyczyniło się w średniowieczu do urobienia umysłów w tym stopniu co „Civitas Dei“ i żadne nauki nie wywarły większego wpływu na dążenie do powszechnego pokoju, co nauki w tym dziele zawarte.

Tej jedności w dziedzinie duchowej i wyznaniowej brakło jednak jedności politycznej, takiej, jak ją miał pogański Rzym. Prędzej czy później powstać też musiała jakaś władza polityczna, aby bronić chrześcijaństwa mieczem świeckim, gdy papież miał bronić jej mieczem duchowym. Tak wyrosło cesarstwo Franków w IX wieku i cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego w stuleciu następnym. Dwukrotnie, miano-

wicie za Karola Wielkiego i za Ottona III, oba miecze pracowały zgodnie ze sobą, stanowiąc obronę chrześcijaństwa przed barbarzyństwem. Poza tem oba miecze często się zwalczały, dając wernym widowisko wiecznego i gorszącego rozdarcia.

Jedno przeciw zostało po wiekach średnich, gdy obie potęgi po wzajemnym wyniszczeniu stanęły dość bezsilne wobec groźnej potęgi od wschodu: Świadomość wspólnoty duchowej, wyrażającej się w jednej kulturze, która mimo tylu wyznań nadal zwie się chrześcijańską i mimo tylu języków zwie się łacińską. Protestantyzm tę jedność duchową rozsadził a pokój westfalski po krwawej trzydziestoletniej wojnie zawarty, był zaprzeczeniem ducha wieków średnich i ich kulturalnej wspólnoty. W Europie powstało prawie tyle narodów ile było języków a państw powstało znacznie więcej, każde z wyznaniem w myśl zasady: „cuius regio eius religio...“

Do tej jedności augustiańskiej świat już nigdy nie wrócił, mimo szkód oczywistych i mimo ciągłych wołań o ratowanie naszej cywilizacji przed niechybną zagładą.

Od wołań o pokój po każdej większej wojnie odróżnić trzeba pomysły urzędzenia powszechnego pokoju opartego na pewnym światopoglądzie i wyposażonego w środki zabezpieczające.

Pierwsza próba zorganizowania takiego pokoju wiąże się z nazwiskiem Francuza Piotra Dubois, uczonego w służbie Filipa Pięknego (1255). Normandczyk ten potępiał wojnę jako główną przeskodę postępu a jako środek zapobiegawczy przedkładał rodzaj Ligi Narodów. Okrzyczane jako „wypracowane marzenia“ wyprzedzały pomysły szlachetnego Francuza o sześć wieków Ligę Narodów z czasów tamtej wojny, obecne pomysły zbrojnego zabezpieczenia pokoju i to, co nam dziś jeszcze się wydaje marzeniem: stworzenie międzynarodowego systemu edukacji.

Dante widział jedyny sposób zapewnienia światu pokoju w powszechnej monarchii z Włochami jako przewodcą. Dante był ośniony urokiem Rzymu z jego „Pax Romana“ i wyobrażał sobie stare cesarstwo jako idealną jedność. W tym się mylił. Nie mógł też sobie wyobrazić ustroju świata bez udziału papieża, któremu przyznawał większą jeszcze władzę — co znowu było przeciwne prądom czasu. Dante był ostatnim w rzędzie szermierzy o utrzymanie średniowiecznej jedności i średniowiecznej wspólnoty. „Tylko pod rządami jednego księcia rozmaite części ludzkości są zdolne do tworzenia jedności i przystosowane do Władcy wszechświata, którym jest Bóg. Ludzie są stworzeni na podobieństwo Boga a Bóg jest jeden. Gdy ludzkość będzie połączona w jedną całość, w jedno ciało, wtedy będzie najbardziej podobna do Boga. Skoro zaś cały wszechświat jest poruszany przez jednego rządcę, Boga, najlepsze państwo też jest takie, które rządzone jest przez jedno prawo i jednego władcę...“

Piękne, bo piękne, były pomysły Dantego, za górnolotne, aby przemówić do umysłów praktycznych. W chęci pogodzenia cesarstwa z papieżstwem i zaprzęgnięcia obu potęg do utrzymania pokoju nie wyszedł Dante poza porządek, który miał wielkich wrogów. Prawie w tym samym czasie, kiedy dojrzewały pomysły jego Monarchii, w sąsiedztwie inny Włoch, Marsyliusz z Padwy, wystąpił z traktatem „Defensor pacis“ (1324), w którym zwalczał namiętnie papieżstwo i posuwał się do reform niemniej rewolucyjnych jak reformy Lutra.

Upadek Konstantynopola w roku 1453 i groźba zalewu Europy przez Turków wyłoniła pomysły zjednoczenia Europy do walki z barbarzyństwem z wschodu. Jeden z tych pomysłów należy do Jerzego z Podiebradu. Król czeski zmierzał do stworzenia czegoś w rodzaju międzynarodowego parlamentu, celem osiągnięcia wzajemnego porozumienia i zapewnienia Europy bezpieczeństwa od zewnątrz i pokoju wewnątrz. Papież, któremu ten projekt przedstawiono w roku 1461, wahał się co robić, zato król Kazimierz Jagiellończyk przystał nań w roku 1462 i poszedł na sojusz obronny z Czechami. W tym samym roku pracowano w Wenecji nad projektem Ligi, do której wstąpili Czesi, Francuzi, Polacy i Węgrzy do tego Burgundia i Bawaria. W roku 1464 wielkie poselstwo czeskie udało się do Francji, gdzie je przyjął życzliwie poróżniony z Rzymem Ludwik XI.

Projekt Jerzego z Podiebradu był w zasadzie federacyjny; zrywał z dawnymi pojęciami o światowym imperium, pod jakąkolwiek by ono występowało nazwą i opierał się na zasadzie narodowości. Parlament mógł przyjmować i wykluczać członków, rozstrzygał o rzeczach pokoju i wojny, miał swój skarb, archiwum i pieczęcie.

Projekt Jerzego z Podiebradu był ostatnim z licznych projektów średniowiecza w dziedzinie dążeń do zabezpieczenia świata pokoju. Nawiasem dodajmy, że dążenie to nie było wyłącznie udziałem chrześcijan.

W tym samym czasie, kiedy we Francji i we Włoszech najprędniejsze umysły rozmyślały nad wiecznym pokojem zjawił się pomysł uszczęśliwienia ludzkości w zgola innej stronie — na wschodzie. Już Dżyngis Chan potężny władca Tatarów dał światu do zrozumienia, że pragnie uszczęśliwić ludzkość, kiedy przed jednym z najazdów na zachód szeroko ogłosił następujące orędzie:

„Niebiosą wyznaczyły nam całą powierzchnię ziemi od wschodu słońca do zachodu. Kto się podda, temu zapewnimy życie i życie dla jego żon, jego dzieci i jego bliźnich. Kto nie zechce się poddać, lecz będzie się opierał, ten zginie ze swoimi dziećmi, z swoimi żonami i ze swoimi bliźnimi...“

Opór, jakiego doznali w Europie, kultura jaką tu znaleźli, musiały ośnić Mongołów. Nie tylko wstrzymali się od najazdów i zaprzestali pogróżek, ale starali się zbliżyć do zachodu i pozyskać go do współpracy w urzędzeniu

świata. Tak sobie za Władysławem Korwiczem tłumaczyć należy wystąpienie chana mongolskiego Uldżajtu wobec władców łacińskich w roku 1305.

W tym roku chan wysłał dwa poselstwa na zachód, jedno do Egiptu drugie do Europy, mianowicie do Francji, Anglii i prawdopodobnie do Stolicy Apostolskiej. Jako ślad tych zabiegów zachował się tylko list do Filipa Pięknego i odpowiedź króla Edwarda II.

W liście do monarchy francuskiego przypominał Mongoł dobre stosunki między chanami i zachodem i zaznaczał, że sam stosunki te pragnie podtrzymać. Przynawał, że i on i jego bracia żyli długo w niezgodzie, obecnie jednak potomkowie Dżyngis Chana ułożyli istniejące od pół wieku waśnie i połączyli wszystkie państwa od zachodu słońca aż do morza Talu. Dalej pisał chan:

„Przyrzekliśmy sobie, że jeżeli którykolwiek wszcząłby waśń, my wszyscy połączymy się przeciw niemu... Dowiedzieliśmy się, że wy liczni sultanowie Franków żyjecie w zgodzie między sobą. Zaiste coś może być lepszego od zgody? Gdyby więc ktoś nie chciał pozostać w zgodzie z Wami i z nami, wtedy siłą, z dopustu nieba, będziemy się wspólnie bronić przeciw niemu, niechby nieba o tem wiedziały...“

Zatem władca mongolski wystąpił przed Europą ni mniej ni więcej tylko z myślą powszechnego pokoju, który nie był zupełnie obcy jego poprzednikom, ale unicestwiony został po śmierci Dżyngis Chana.

Jakie wrażenie zrobiła ta „Pax Mongolica“ w Europie, jakiego doznała przyjęcia na dworach zachodnich? Nie wiemy co odpowiedział Filip Piękny, cesarz niemiecki i namiestnik Boży na ziemi. To, co odpisał król Edward II z końcem roku 1307 wykluczało raczej wspólne wstąpienie Azji i Europy na rzecz wielkiego pokoju. Niezrażony złym przyjęciem próbował Uldżajtu raz jeszcze skłonić władców zachodu do wojny z Islamem, jednak nadaremnie. Doczekał się wprawdzie odpowiedzi, tym razem od papieża Klemensa V i raz jeszcze od Edwarda II, jednak rozprzeżenie wewnątrz jego państw i nieudana wyprawa na południe uniemożliwiły mu dalsze staranie o współpracę z Europą.

Czasy nowożytne nie były bardziej szczęśliwe w zapewnieniu światu pokoju a że wojen i to krwawych było więcej niż w średniowieczu, więcej było usiłowań o stworzenie pokojowego porządku. W XVI wieku sławy zażywało dzieło Emyryka Cruce (1590-1648) mnicha z Paryża, który wysuwał myśl konfederacji ze wszystkich wyznań — chrześcijan i mahometan, żydów i pogan. Pierwsze miejsce w tym związku zajmować miał papież, następnie w kolejności sultan, cesarz i królowie francuski i hiszpański. Co do szóstego miejsca to mieli je otrzymać władcy Chin lub Persji, chan perekopski lub moskiewski car. Zato niekonięcznie mieli wejść do Ligi inni władcy, polskiego i angielskiego nie wyłączając.

Równie sławny, choć równie nieskuteczny był „Grand dessin“ Henryka

IV czy też jego doradcy Sully. (1638). Obejmował on ligę z 15 państw w tym Polskę, Czechy i Węgry z Francją jako przewodnią — zato Austria miała być z niej wykluczona.

Znacznie skromniejsze w dziedzinie pomysłów wiecznego pokoju były zamierzenia Grotiusa („De iure belli ac pacis” — 1625). Grotius nie żądał ani stałej federacji ani stałego trybunału. Zdaniem jego wystarczyło rozjemstwo na okresowych konferencjach, na których rozpatrywane miały być wszelkie sporne sprawy międzynarodowe. Związek tych pomysłów z nowoczesną formą arbitrażu i z trybunałem haskim jest tu widoczny. Kładąc 4 lipca 1899 roku, w czasie pierwszej konferencji haskiej wieniec na grobie w Delft uzczył delegat amerykański wielkiego Holendra, mówiąc: „Szanowni Panowie, zarodek tego dzieła nad którym wszyscy tak usilnie pracujemy, leży w jednym zdaniu wielkiego dzieła Grotiusa (o arbitrażu): „maxime autem Christiani reges et civitates tenentur hanc inire viam ad arma vitanda...”

Wiek XVII nie był uboższy w pomysły odnośnie wiecznego pokoju od stulecia poprzedniego. Twórcami tych pomysłów byli Anglicy W. Penn (1693), J. Bellers (1710) i Jeremi Bentham (1786-9), Francuz de Saint Pierre (1712) sam J. J. Rousseau (1761) i sam Emanuel Kant.

Dzieło tego ostatniego „Zum ewigen Frieden“ (1795) cieszyło się jak żadne poczytnością w Niemczech i na zachodzie, może na dowód jak świat, przerażony okropnościami rewolucji francuskiej tęsknił za pokojem. Skąpany w krwawych wojnach napoleońskich miał świat prawo uważać „wieczne pokoje“ za mrzonkę, kiedy 26 września 1815 r. Aleksander I ogłosił światu plan „świętego przymierza“. W Rosji dotąd nie myślano o wiecznym pokoju i sam pomysł cara nie był jego własnością. Jedni przypisują go wpływowi nauczyciela cara La Harpe inni baronowej Krügener, która utrzymywała, że ją natchnął Bóg do nakłonienia Aleksandra do zaprowadzenia wiecznego pokoju.

„Święte przymierze“, tak nazwane przez samego założyciela, przesiąknięte było istotnie naukami chrześcijańskimi. Głosiło ono, że stosunki między państwami winne się opierać „na wzniosłej prawdzie, której uczy święta wiara naszego Zbawiciela, że zasady sprawiedliwości, chrześcijańskiego miłosierdzia i pokoju... muszą mieć wpływ na

umysły książąt i kierować ich krokami... że rządy i ich poddani uważać się winni za członków jednej i tej samej społeczności chrześcijańskiej...“. Mimo tych pięknych hasel papież nie przyłożył do aktu przymierza pieczęci, nie chciała tego zrobić Anglia, nie mogła Porta Otomańska. Święte przymierze utwierdziło rozbiory Polski, okrzyczane w ciągu XIX stulecia jako największa zbrodnia czasów nowożytnych, a w duchu było tak „niedemokratyczne“, że Ameryka je z miejsca odrzuciła. Jeśli zostało coś z świętego przymierza, to czwórprzymierze (z Anglią, Rosją, Prusami i Austrią), w roku 1818 przekształcone na przymierze pięciu, z Francją, z którego rozwinął się tzw. koncert europejski z zadaniem utrzymania „równowagi sił“.

Oczywiście i wiek XIX nie zdał egzaminu w dziedzinie budowy wiecznego pokoju, bo Europa przeżywała w tym czasie kilka wojen, jedną rewolucję i dozbierała świat do I wojny światowej. Zato na drugiej półkuli w szczęśliwszym się znajdującej położeniu pracowały umysły nad organizacją wiecznego pokoju od roku 1828, w którym powstała pierwsza „American Peace Society“. W czasie wielkiej wojny, w roku 1915, założono potem w Filadelfii „The League to enforce Peace“ z gotowym programem pokoju. Wilson wziął dużo ze swych poczynań od Ligi, przystępując do organizacji porządku w świecie z pomysłem powszechnej Ligi Narodów.

Ten ostatni największy i najlepszy jak się zdawało wysiłek poszedł najprędzej na marne. Jesteśmy znowu świadkami wzmożonych dążeń do pokojowej organizacji świata i w tej chwili nie możemy nie mieć obaw co do losu naszej cywilizacji. „Pax Germanica“ tak jak ją chciały światu narzucić Niemcy upadła wprawdzie bezpowrotnie, nie zagraża nam też „Pax Ottomanica“, wisząca nad Europą od XV do XVII wieku. Zato wschód i to wschód najgorszy, wyposażony we wiedzę zachodu, w jego środki i zdobycze i świadom swego celu chce wziąć zachód w własne objęcia i uszczęśliwić go własnym porządkiem. Nad Europą i chrześcijaństwem wisi nowa „Pax Mongolica“, coprawda nie z Karakorum jak w XIII wieku i nie w wydaniu tatarskim jak za Dżyngis Chana, tylko z Kremlu i w wydaniu moskiewskim. Ludz zachodu zdają się nie dostrzegać, że ci co ten pokój niosą, to są ci sami barbarzyńcy, którzy „ze swej ojczyzny w tym wy-

ruszyli zamiarze, aby podbić zachód i wiarę Chrystusa i jego Imię wypłenić. I upojeni niespodziewanymi zwycięstwami, które z dopustu Bożego dotychczas odnosili do takiego zuchwałego doszli opętania, że już sobie mają za posiadłe królestwa na ziemi i chcą królów i książąt przywieść do podłego poddaństwa...“ (1241).

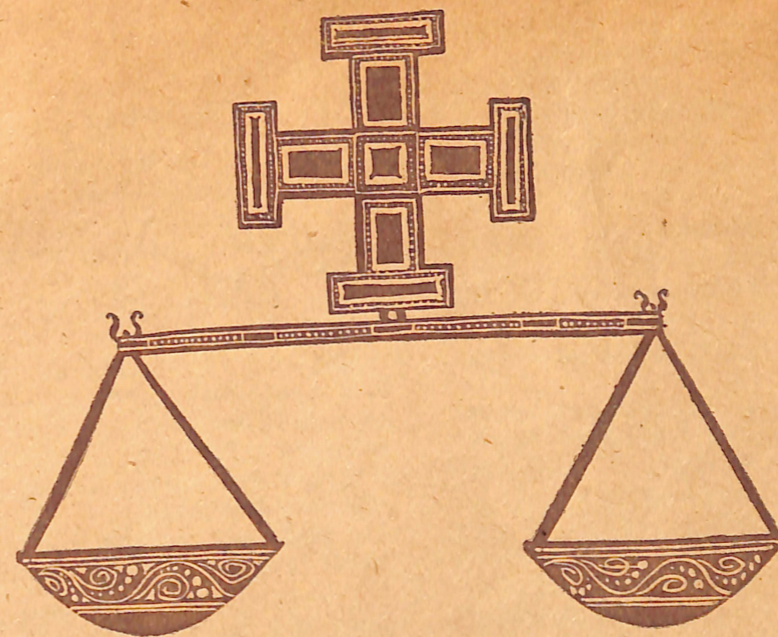
Świat jest w głębokiej rozterce, bo nie wie jakich ma się imać środków zbudowania pokoju. Tyle wszak sposobów zawiodło a ostatni największy środek zawiódł tak zupełnie. Były absolutyzmy i federacje, były ligi panujących i monarchie, były przymierza i związki narodów, były wreszcie trybunały, konferencje, arbitraży i porozumienia — tylko wojny nie ustawały i nie było w żadnym wieku długiego pokoju. Czegoś tym pokojom musiało brakować, bo gdybyśmy chcieli pozostać przy przeświadczeniu, że umysł ludzki zdolniejszy jest do wymysłów wojny niż do rad nad skutecznym pokojem, musielibyśmy przestać wierzyć w nasze człowieczeństwo dane nam przez Boga i w naszą wolną wolę, która po rozróżnieniu dobra od zła woli wybrać to ostatnie. Może najtrafniej dostrzegł wady wszystkich ostatnich usiłowań pokojowych amerykański historyk S. H. Hemleben, pisząc w swym świeżo wydanym studium:

„Moralne założenia jakiegokolwiek międzynarodowego ładu nie były dostatecznie podkreślane w wielu z najnowszych planach pokojowych. Nie doceniano też być może braku moralnego podkładu Ligi Narodów w roku 1919. Dopóki nie zaczniemy uważać państwa za osobowość moralną, i dopóki nie postawimy stosunków międzynarodowych na podstawach moralnych, dopóty nie będziemy mieli trwałego pokoju... Międzynarodowe stosunki muszą być oparte o zasady etyczne a jeśli chcemy osiągnąć wieczny pokój, ludzkość musi wrócić do Boga po radę i siłę...“ (1943).

Zatem wszelkie pokoje zawierane bez Boga i bez zasad chrześcijańskich narażone będą na ten sam los, co wszystkie pokoje, zawierane z myślą o korzyściach dla silniejszego, z krzywdą dla słabych i małych. Jeśli jest jakiś pokój dla świata to jest to Pax Christiana z zasadami zawartymi w prostych słowach kołedy:

GLORIA IN EXCELSIS DEO  
ET IN TERRA PAX HOMINIBUS  
BONAE VOLUNTATIS

L. Y.



## Królestwo Boże na ziemi

Anglicy poświęcają dużo uwagi zagadnieniom społecznym i to nie tylko w kołach lewicowych ale niemniej i w kołach zachowawczych a także, i to wybitnie, w środowiskach związanych ściśle z Kościołem. Kościół rzymsko-katolicki w Anglii jest jednym z ośrodków, w których rozprawy nad społecznymi reformami toczą się bez przerwy. Ostatnio stała się głośną książka wydana w Londynie p. t. „Encykliki Papieskie“, w której autor omawia obszernie dwie, o historycznym znaczeniu, encykliki. Jedna, z r. 1891 „Rerum Novarum“ — Leona XIII i druga z r. 1931 — „Quadragesimo Anno“ — Piusa XI.

Myśli zawarte we wspomnianych dziełach zostały rozpowszechnione w małej, bardzo przystępnie napisanej książeczce, p. t. „Co to jest sprawiedliwość“, która w wielu tysiącach egzemplarzy rozeszła się po wszystkich krajach Imperium oraz w Stanach Zjednoczonych. Zamieszczamy z niej kilka ustępów:

### WSTĘP

Ludzie wymyślili maszyny, żeby powiększyć wytwórczość. Ludzie wymyślili więcej maszyn, żeby pomnożyć wytwórczość. Jedna maszyna mogła więcej wytworzyć niż jeden człowiek. Maszyny wytwarzały towary. Robotnicy tylko pomagali maszynom. Właściciele maszyn niewiele myśleli o ludziach, którzy pracowali przy maszynach. Właściciele maszyn myśleli więcej o maszynach, które przynosiły im pieniądze. Płacili robotnikom jak najmniej, chociaż maszyny wytwarzały stokrotnie. Wynikiem tego było, że ludzie bogaci stali się bardzo bogatymi a ludzie biedni pozostali biednymi. Powstała wielka przepaść między bogatymi a biednymi, właścicielami a robotnikami. Robotnicy pracowali, a właściciele zbierali pieniądze. Właściciele uważali, że to zupełnie słuszne; robotnicy uważali, że to niesprawiedliwe i nie do wytrzymania. Ludzie z zewnątrz przypatrujący się, naukowcy i uczeni

nie wiedzieli co myśleć. Niektórzy zgadzali się z właścicielami; niektórzy zgadzali się z robotnikami. Wielu uważało, że warunki nie dadzą się zmienić; sami robotnicy byli zgodni, że warunki są nieznośne. Nie byli zgodni co do tego, co ma być zmienione i jak ma być zmienione. Nie mieli nikogo, ktoby nimi pokierował. Wtedy, w 1891, odezwał się Przewódca, Był nim LEON XIII.

### CO PAPIEŻ LEON POWIEDZIAŁ?

Leon przemówił, gdyż sprawa ta dotyczyła bezpośrednio religii. Miał prawo mówić o religii. LEON poparł robotników. Określił jasno prawa bogatych, prawa biednych, prawa kapitału, prawo pracy. Jednocześnie powiedział, co Kościół ma robić, co państwo ma robić, co bogaci i biedni mają robić, żeby rozwiązać to zagadnienie. Wielu ludzi usłuchało LEONA. Robotnicy usłuchali z zadowoleniem, niektórzy właściciele usłuchali. Wielu naukowców i uczonych zgadzało się z Nim, lecz bardzo wielu, nawet katolicy niektórzy podejrzewali Jego nauczanie. Znajdowali, że jest niepokojące, znajdowali, że jest utopiine i niewykonalne, znajdowali, że jest zanadto prawdziwe, żeby było wygodne.

### WPLYW SŁÓW PAPIEŻA NA KOŚCIÓŁ

LEON udzielił tej rady... Wpłynęła ona na cały Kościół.



Papieże poszli za Jego radą,  
Arcybiskupi i biskupi  
poszli za Jego radą.  
Księża i ludzie świeccy  
zaczęli studiować zagadnienia społeczne.  
Księża i ludzie świeccy  
nauczyli się patrzeć  
na sprawy ogólnościowe  
z chrześcijańskiego punktu widzenia.  
Obrona robotników przez LEONA  
spowodowała zajęcie się przez kler  
sprawą dobra robotników.  
Robotnicy zdali sobie sprawę  
ze swej godności.

#### ZDANIE PAPIEŻA O PAŃSTWIE

LEON powiedział,  
że władza rządu jest  
nie tylko na to, by zachować  
prawo i porządek,  
musi też dbać o to,  
by zapewnić dobro ogólne.  
LEON powiedział,  
że obowiązkiem rządu jest  
opieka nad ludnością,  
a szczególnie nad biednymi  
i pracującymi.  
Jego słowa wywarły wpływ  
na rządy i stronnictwa polityczne.  
Zaczęto się zajmować  
sprawami robotniczymi, wydano ustawy  
o obronie robotników.

#### CO UCZYNIŁ PIUS XI.

LEON XIII umieścił te nauki  
w liście do całego świata w 1891 r.  
Czterdzieści lat później  
Papież PIUS XI  
uświęcił rocznicę tego listu  
pisząc inny.  
Nazwał go  
„W czterdziesty rok“ — *Quadragesimo Anno...*  
Poruszył w nim  
sprawy, które  
LEON poruszył,  
Bardziej wyjaśnia  
to, co LEON wyjaśniał.  
Unowocześnił naukę LEONA.  
Przenosi ją z r. 1891  
na dzień dzisiejszy.

#### CO MÓWI PIUS XI O WŁASNOŚCI PRYWATNEJ

Człowiek ma prawo  
do własności prywatnej.  
Własność jednego człowieka  
jest równie święta,  
jak własność drugiego człowieka.  
Jeden człowiek nie może  
powiększać swej własności  
krzywdą drugiego człowieka.

#### ZNIESIENIE PRAWA WŁASNOŚCI

Państwo  
nie może znosić  
prawa własności prywatnej.  
Dlatego,  
że to nie od państwa  
człowiek otrzymuje  
prawo  
do własności prywatnej.  
Państwo  
jest młodsze  
od rodziny.  
Ludzie żyli w rodzinach  
zanim  
żyli w państwie.  
W rodzinie istniało

prawo własności prywatnej  
od początku  
jej istnienia.

#### REFORMY

LEON powiedział: społeczeństwo  
może być uzdrowione tylko  
przez powrót do życia chrześcijańskiego,  
do urzędzeń chrześcijańskich.  
PIUS XI powtarza  
to, co powiedział LEON:  
dzisiejsze nadużycia  
mogą być zniesione,  
lecz następujące rzeczy  
są potrzebne, żeby je znieść:  
reforma państwa,  
reforma życia gospodarczego,  
reforma jednostki.  
Ale państwo nie może być zreformowane,  
jeżeli jednostka się nie zreformuje.

#### REFORMA JEDNOSTKI

Bezcelową jest  
próba zreformowania  
państwa  
lub życia gospodarczego,  
jeżeli ludzie najpierw  
nie zreformują się sami.  
Państwo  
i życie gospodarcze  
zależą od ludzi.  
Historia wykazała,  
że kiedy ludzie robią się samolubni —  
świat staje się nieszczęśliwy.

#### NIEBEZPIECZNA POTĘGA BOGATYCH

Ludzie bogaci jednego państwa  
pożądają bogactw  
ludzi bogatych innych państw.  
Zatargi między ludźmi bogatymi  
powodują  
zatargi między samymi państwami.  
Władza tych ludzi  
jest tak wielka,  
że mogą oni rozporządzać  
nawet państwami  
dla swych własnych, samolubnych celów.  
Państwo powinno mieć jeden cel.  
Tym powinna być  
sprawiedliwość  
i dobro ogólne.

#### KOMUNIZM I SOCJALIZM

Niektórzy mówią,  
że komunizm i socjalizm  
uleczą te nadużycia.  
PIUS XI potępia  
komunizm i socjalizm,  
ponieważ komunizm uczy  
walki klas;  
ponieważ komunizm uczy,  
że własność prywatna jest błędna,  
ponieważ komunizm  
każe ludziom  
nienawidzić BOGA.  
PIUS potępia socjalizm, ponieważ  
jest on tylko komunizmem  
ograniczonym,  
który mógłby się wydawać  
chrześcijańskim.  
Właściwy socjalizm jest  
pogański;  
uczy, że jedynie ziemskie dobra człowieka  
mają znaczenie.  
Jeżeli socjalizm jest pogański,  
to  
żaden katolik  
nie może być socjalistą.

#### PRAWO CHRYSTUSOWE

Większość ludzi przyznaje,  
że porządek społeczny  
musi być zreformowany.  
Lecz porządek społeczny  
nie może być zreformowany  
dopóki ludzie  
nie zreformują swych sumień.  
Jeżeli ludzie zreformują swe sumienia,  
to będą  
postępować według prawa bożego  
i pragnąć sprawiedliwości.  
Jeżeli będą postępować  
według prawa CHRYSTUSOWEGO  
to będą bliźnich miłować,  
a miłość  
nie dopuści,  
by jeden człowiek  
krzywdził i wyzyskiwał  
drugiego człowieka.

#### JAK WPROWADZIĆ Z POWROTEM PRAWO CHRYSTUSOWE

Biskupi i księża  
muszą się wgłębiać w sprawy społeczne.  
Biskupi i księża  
muszą zachęcić ludzi świeckich,  
by im pomogli.  
Biskupi i księża



Idą przez świat cały wielkie prze-  
miany duchowe. Coś wali się i roz-  
sypuje w gruzy, upada bezpowrotnie,  
przechodzi na karty historii, by na  
nich tylko pozostać dla potomnych  
wspomnieniem i nauką dziejów. A  
zarazem powstaje do nowego, wiel-  
kiego życia jakiś świat nowy, młody,  
mocarny, uderzający swą siłą i og-  
niem, zadziwiający jasnością i logi-  
ką ujęć najważniejszych zagadnień  
bytu człowieka, świat siły, bo mło-  
dosc jest jej synonimem, świat pięk-  
ności, bo młodość jest jej najwyż-  
szym wyrazem, świat dobra, bo  
najwznioślejsze ideały rosną i doj-  
rzewają w duszach pokoleń młodych,  
tych, które w życie dojrzałe wcho-  
dząc, pragną wszędzie realizować  
prawdę, dobro i piękno. A że Bóg da-  
je człowiekowi w młodości najwięcej  
sił, zapału i entuzjazmu, najwięcej  
ofiarności i największą zdolność do  
twórczego wysiłku we wszystkich

dziejzinach — przeto młodzież po-  
wszechnie uważamy za ten element,  
który kreśli kontury przyszłego  
świata.  
Nie ma w tym nic dziwnego. Życie  
narodu, to niekończący się łańcuch  
pokoleń po sobie następujących, po-  
koleń, które do dorobku ojców i  
dziadów dodają swój własny wkład.  
Wartość pokoleń bywa różna i nie  
ona decyduje o wartości narodu,  
który oceniać można jedynie na pod-  
stawie całości jego dziejów. Są po-  
kolenia wyjątkowo mocne i twórcze  
i one w największej mierze tworzą  
historię rozwoju narodów, są jednak  
także słabe i nieudolne, te, które  
dorobek narodowy marnują, zaprze-  
paszczają i marnotrawią. I jedne i  
drugie należą do całości narodowej,  
i za jedne i za drugie spoczywa na  
całym narodzie odpowiedzialność.  
Ale wielkie czasy i wielkie wyda-  
rzenia dziejowe wymagają pokolenia

ludzi mocnych, w zasadach swych  
nieugiętych i rzeczywistość swoją i  
cudzą widzących jasno i wyraźnie.  
Przełomowe czasy, jakie współczes-  
nym pokoleniom przeżywać przyszło,  
są jednym z najtrudniejszych egza-  
minów historycznych, jaki naród  
nasz składa przed sobą i przed świa-  
tem. Od jego wyniku zawisła cała  
przyszłość i cały byt Polski.  
Polskie pokolenie na przełomie  
wieku XIX i XX, to, które po stu  
pięćdziesięciu latach niewoli naro-  
dowej doczekało wyzwolenia pań-  
stwa, miało jedno naczelne i naj-  
ważniejsze zadanie do spełnienia,  
które spełniło z wynikiem dodatnim.  
Zadaniem tym była odbudowa nie-  
podległego bytu państwa i narodu.  
Ta generacja, która ten wynik osią-  
gnęła swą pracą rąk i ducha i swoją  
walką, jest pokoleniem, które odcho-  
dzi dziś w przeszłość. Odzyskało ono  
dla Polski wolność po latach niewo-

ł o d y  
L A S

li, ale jeszcze za jego życia nastąpił przełom, który dziś przeżywamy i którego głównym składnikiem jest wojna obecna. Przełom ten następuje w chwili, gdy w niekończącym się łańcuchu pokoleń polskich w życie publiczne wchodzi młodzież, ci, którzy urodzili się już i wychowali w niepodległym państwie, i przed którymi historia stawia nowe, olbrzymie, niemniej ważne od poprzedniego zadanie — zadanie utrzymania prawdziwej niepodległości Polski, ugruntuowania jej wielkości, mocy i potęgi. Od tego, jak z tego zadania wywiąże się młode pokolenie Polaków, od tego, jak dobrze potrafi zrozumieć sprawę Polski i świata, od tego jak w pracach swych i walkach postępować będzie we wszystkich dziedzinach, od tego wszystkiego uzależnione jest nie tylko istnienie Polski, ale cały byt cywilizacji rzymskiej i chrześcijańskiej, której Polska najdoskonalszym jest dziś wcieleniem. Tak samo jak szumnie będzie młody las polski, jak prężny, silny i zdrowy będzie w swym rozroście, tak ukształtują się i najbliższe i dalsze dzieje Polski, Europy i świata.

Dorastające dziś pokolenie polskie, a także to, które w życie weszło tuż przed wybuchem tej wojny, jest najpełniejszym wcieleniem polskiego charakteru i polskich właściwości narodowych. Jest ono w swej olbrzymiej większości szczerze i gorąco katolickie, tak jak katolicki jest niemal w całości naród polski. Sprawy swej ojczyzny pokolenie młode pojmuje nieco odmiennie, niż przeszłe pokolenia. Obecnie mu są i niezrozumiałe spory orientacyjne, emocjonujące starych. Mądrości i nauki, potrzebnej mu do wypełnienia jego zadań młode pokolenie szukało w dziejach swego narodu, a źródła siły i mocy moralnej na najcięższe chwile walki z przeciwnościami szukało w nauce Chrystusa. Wiedziało, że bez intensywnej i nieustannej pracy nad sobą, bez kształcenia umysłu i uszlachetniania charakteru nie dorosnie do spełnienia tych zadań, jakie na jego barki wkłada historia, i jakich wymagają czasy, dziś przez nas przeżywane.

Młodzi nie mieli wpływu ani głosu decydującego w sprawach polskich przed wybuchem wojny obecnej. Wychowani w najczystszy idealizm, przyzwyczajeni do ustawicznego składania największych ofiar dla swych ideałów i swych przekonań, młodzi otaczani byli zupełnie nie słusznie niechęcią, rezerwą i brakiem zaufania przez tych, którzy w niepodległej Polsce ster spraw publicznych dzierżyli. Gdy wojna wy-

buchła, młode pokolenie w całości spełniło obowiązki wobec ojczyzny: znalazło się w pierwszych szeregach walki i w tych pierwszych szeregach do dnia dzisiejszego kroczy, płacąc za to najwyższą ofiarę, na jaką człowieka stać na ziemi: ofiarę życia i krwi. Dając największy, najbardziej ofiarny i bolesny wkład do walki polskiej, młode pokolenie i dziś nie ponosi odpowiedzialności za drogi i kierunek polityki polskiej, którą inni dziś w imieniu Polski prowadzą.

Źródła siły i niezłomności młodego pokolenia, o którym mowa, tkwią swymi korzeniami w postawie moralnej i wyznawanych przez młodych zawsze jasno i otwarcie przekonaniach religijnych. Zrozumienie istoty katolicyzmu, pójście bez wahania za jego nakazami we wszystkich dziedzinach życia daje młodemu pokoleniu taką moc niezmierną, że nie są w stanie jej złamać żadne przeciwności życiowe, żadne cierpienie i trudy, jakie tyłu Polakom przeżywać dziś przyszło i w Kraju i w niewoli wroga i na zesłaniach azjatyckich i w szeregach walczących Armii Polskiej. Przepięknym wyrazem postawy duchowej młodego pokolenia pozostanie na zawsze rota ślubowania akademickiego w Częstochowie, wypowiedziana głośno i razem przez olbrzymi, kilkudziesięciotysięczny tłum młodzieży akademickiej na Jasnej Górze w dniu 24 maja 1936 roku:

„Wielka Boga - Człowieka Matko, Najświętsza Dziewico! My młodzież akademicka, z całej Polski zebrana, prawowierni spadkobiercy odwiecznej praojców naszych pobożności, upadając do stóp Twoich Przenajświętszych, Ciebie Matkę Bożą i Królowę Korony Polskiej obieramy na wieczne czasy za Matkę i Patronkę polskiej młodzieży akademickiej i oddajemy pod Twoją przemożną opiekę wszystkie wyższe uczelnie i Polskę całą — Wsłuchani bowiem w mocarne głosy wielkiej przeszłości naszej, wpatrzeni w świetlane obrazy chwały narodowej, wierzymy mocno, że ojczyzna nasza miła wtedy tylko potężną i szczęśliwą będzie, gdy przy Tobie i Synu Twoim jako córka najlepsza wytrwa na wieki.

Przyrzekamy przeto i ślubujemy Chrystusowi Królowi i Tobie Królowej naszej, Patronce Polskiej Młodzieży Akademickiej, że zawsze i wszędzie stać będziemy przy świętej wierze Kościoła Katolickiego w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej.

Przyrzekamy i ślubujemy, że wiary naszej bronąć i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym, narodowym i państwowym.

Przyrzekamy i ślubujemy, że z wszelką usilnością szczerzy będziemy cześć i nabożeństwo do Ciebie;

że każdego roku w uroczystej pielgrzymce

przychodzić będziemy na Jasną Górę, jako synowie Twoi, do stóp Matki naszej umiłowanej.

Tak nam dopomóż Bóg i Ty Bogorodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo!

Mario, Patronko polskiej młodzieży akademickiej, módl się za nami“.

Wojna nie pozwoliła młodemu pokoleniu realizować corocznie zapowiedzi powtarzania ślubowania na Jasnej Górze. Ale prawdy ślubowania częstochowskiego żyją w duszach młodzieży, i za nie to właśnie młode pokolenie walczy i umiera na wszystkich frontach.

Młody las polski jest w masie swej zdrowy, z korzeni zdrowych wyrosły i bogaty w młode i prężne pędy, liście i kwiaty. Obok tego moralnego przygotowania do pracy dla Polski i Kościoła, jaką dało mu wychowanie w niepodległym państwie, posiada on także dostateczne przygotowanie pod względem wiedzy i nauki, potrzebne do właściwego sterowania sprawami Polski w przyszłości. Młodego lasu polskiego nie zniszczy ani płomień wojny, ani wewnętrzne siły rozkładowe komunizmu, materializmu i bezbożnictwa. Wierzy on w Boga, w Jego rządy nad światem i w Jego opiekę nad Polską. Młody las polski pulsuje siłą i mocą, która potrafi złamać i zniszczyć wszystkie przeszkody, piętrzące się na drodze do Katolickiego Państwa Polskiego Narodu. Wypełni on życie przyszłej Polski treścią Bożą, z prawd katolickich płynącą i narodową, z najgłębszych pokładów duszy polskiej wyrosłą. Stworzy Polskę Wielką wolnością i świadomością obywatelską jej synów, wielką swą polityką i swym gospodarstwem, wielką swą mocą ducha katolickiego, wielką swą wielką cywilizacją. Taka bowiem jest treść ideowa młodego pokolenia Polski idącej i taka będzie treść przyszłej Polski, jeśli ma się ona w ogóle ostać jako niepodległe państwo i wolny naród.

Z kart dziejów Polski odchodzi powoli pokolenie tych, którzy niepodległość państwa przed dwudziestu sześciu laty wywalczyć potrafili, ale którzy w nowym olbrzymim, idącym przez świat przełomie nie potrafili temu państwu zapewnić bezpieczeństwa i uchronić go od olbrzymich zniszczeń i ofiar tej wojny. Na karty historii wstępuje pokolenie młode, do którego należy przyszłość i odpowiedzialność za losy Polski i przez Polskę reprezentowanej cywilizacji.

Dziś młody las walczy z wrogami Polski i Kościoła. Jutro będzie budował Katolickie Państwo Polskiego Narodu.

Tadeusz Borowicz

BEATA OBERTYŃSKA

B A D Ź P O Z D R O W I O N A



Bądź pozdrowiona Maryjo Panno, Królowo światów i przestworzy, Ty, co Dziewicą wiecznie będąc, zrodziłaś Tego, co Cię stworzył...

U dróg początku Pan Cię posiadał, pięknej miłości Matko żywa — Który Cię stworzył, dom zbudował, gdzie mądrość Jego wypoczywa...

Ani się jeszcze nad przepaście gór ciężka wielkość wydzwignęła, Ani zważono wodom źródła — a już Cię Boża myśl poczęła...

Gdy Bóg zawiasy kładł niebiosom i gdy fundament dawał światu, Byłaś — z Nim wszystko składająca — zwierciadłem Jego Majestatu...

Nim rzeki z głębin wyniknęły — nim wód i suchej stał się podział Szatą zbawienia oblókł Ciebie i w sprawiedliwość Cię przydział.

Pięknas jak księżyc — broń mocarzów wisi na Tobie tarcz tysiącem — Jesteś jak wojsko w zbrojnym szyku, wielki strach wroga wzbudzające —

Nad plaster miodu duch Twój słodszy — Dziedzictwo Twe — nadzieja święta O Wierne drzewo — Różo wonna, ku strumieniowi wód przegięta —

Którego objąć świat nie zdoła — Pan nasz i Bóg na wysokościach — Najzdobniejsza Panno, w Twoich zamknąć się oto chciał wnętrzościach.

Tobie — coś niosła Króla Chwały, dał Pan królestwa chwałę wszelką, Cichaś w słodkościach Swych i wdzięczna, o Święta Boża Rodzicielko —

Nad wszystko Ciebie Pan przłożył, dla prawdy, czci, sprawiedliwości — I nie odejdzie chwała Twoja, po wieków wiek od ust ludzkości.

Z A P O M N I A N Y

O R D E R

W r. 1624, Władysław Waza, Król polski i car moskiewski, odbył pielgrzymkę do Loreto, gdzie złożył jako wotum, złoty posążek swojego Patrona, wysadzony drogimi kamieniami. Zaproszony przez Papieża Urbana VIII, odwiedził następnie Rzym, gdzie został obdarzony poświęconym mieczem, wspinając czapkę i tytułem kanonika Bazyliki Św. Piotra; nie była to tylko cześć kurtuazja wobec syna Zygmunta III, dał się on już bowiem poznać w bitwie chocimskiej/1621/, która zadecydowała o losach Europy i Chrześcijaństwa.

Władysław, zwany przez obcych „ozdobą północy“, niewątpliwie musiał rozmawiać w Rzymie o niebezpieczeństwie tureckim i sposobach utworzenia Ligi przeciw niewiernym, gdyż przez całe jego późniejsze panowanie idea walki z państwem osmańskim wysuwała się na plan pierwszy. Król cieszył się w kraju wielką popularnością, a chociaż gorliwy katolik, był jednocześnie tolerancyjny i dla wyznań, czym różnił się od swego ojca, zniechęconego przez różnowierców.

Umierając, Zygmunt III przekazał koronę szwedzką Władysławowi, tak że ten, stając na polu elekcyjnym, jako kandydat na króla polskiego posiadał tytuł cara moskiewskiego i króla szwedzkiego. Szlachta chętnie jednogłośnie okrzyknęła lubianego królewicza monarchą polskim, nie omieszkała jednak przedtem wytargować zniesienia „dwu



Władysław IV.

Rubens

groszy z łanu,“ które od Ludwika węgierskiego były jedynym i rzadko kiedy od szlachty ściągany podatkem. Władysław IV, gdy został królem nie był już młodziekiem. Toteż sprawa jego

małżeństwa była żywo przez szlachtę dyskutowana. Najważniejszą kandydatką zdawała się być krewna króla Anglii Karola I — Elżbieta. Powstał jednak straszny krzyk, że jest ona protestantką. Jedynym obrońcą biednej księżniczki okazał się biskup kamieniecki Piasecki, który tłumaczył, jakie korzyści może przynieść Polsce zbliżenie się z Anglią. Nad tym właśnie pracował poseł polski Zawadzki, który twierdził, że Elżbieta niewątpliwie przeszłaby na katolicyzm. Zakrzyczano jednak biskupa i wybrano jako kandydatkę na małżonkę królewską Cecylię Renatę, arcyksiężniczkę austriacką. Król chętnie zgodził się na małżeństwo z córką cesarza, gdyż miała ona obiecać olbrzymi posag, a Władysław był wciąż w tarapatkach pieniężnych. Gdy nastąpiły oficjalne oświadczenia, posag skrewiono, ale król nie zważając na kręctwa austriackie, nie cofnął danego słowa i rozpoczął czynić przygotowania do ślubu.

W dzień koronacji królowej, zamierzał Władysław ogłosić ustanowienie Zakonu Rycerskiego pod wezwaniem Niepokalanej Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Kanclerz Ossoliński przywiózł upoważnienie Stolicy Apostolskiej, król zaś, po naradzie z hetmanem Koniecpolskim i ministrami nazначył już 13 pierwszych kandydatów. Ogółem odznaczonych orderem miało być tylko 72 zasłużonych, w tym 24 księżąt obcych.

Wszystkie państwa miały wówczas już swoje ordery, z których jednak o



charakterze religijnym, był bodaj tylko order francuski św. Ducha, ustanowiony przez króla polskiego i francuskiego Henryka Walezego. Order Niepokalanego Poczęcia składał się ze złotego łańcucha z inicjałów Maryi, zakończonego przepięknym różowym ośmiogranym krzyżem z napisami: z jednej strony „Virtus unita“, z drugiej — „Vicisti — vince“. Ordery takie zostały już wykonane i, zdaje się, że król obdarzał nimi niektórych cudzoziemców. Posel bowiem wenecki, Jan Tiepolo podaje w swej relacji, że król obdarzył go orderem Orła, co oczywiście nie mogło mieć miejsca, gdyż jak wiemy, order Orła Białego ustanowił August II. Był to więc na pewno order Niepokalanego Poczęcia.

Piękny był pomysł Władysława, którym „bez kosztu i bez ubliżenia prawu gospolitemu, spodziewał się wzniecić gorętszy zapal do służenia Ojczyźnie“. — Niestety, szlachta nie zgodziła się na ustanowienie orderu. Obawa, że nie wszyscy zostaną odznaczani, była jedynym tego powodem, pretekstem zaś przysłowiowa „równość“ szlachecka oraz sprzeczny innowierców.

## POWIEŚĆ PRZYJACIELA POLSKI

Powieść Bernanosa „Pod Słońcem Szatana“ ma już dobrych lat 20. Dla czego więc wybrałem ją dziś jako temat? Wystarczyłoby już to, że idzie o najwybitniejszy utwór francuskiej literatury katolickiej sprzed wojny, utwór na genialną miarę. Ale Bernanosa czynią nam szczególnie bliskim inne jeszcze powody. W londyńskiej „Myśli Polskiej“ z kwietnia r. b. czytamy list Bernanosa, stający gorąco w obronie naszych praw dziejowych. Jerzy Bernanos nie jest pisarzem popularnym i ten jego głos nie dotrze może do mas — ale usłyszą go najlepsi. Mieć Bernanosa po swojej stronie to zaszczyt i natchnienie zarazem. Najbardziej jednak wiąże nas Polaków z tym pisarzem i z tą jego książką jeszcze co innego: nastrój zacieklej i nieustającej, nieogładającej się na nic walki z szatanem. Tak właśnie Polska walczy od lat pięciu.

Jaka jest treść powieści Bernanosa? Rzecz składa się z trzech części. Część pierwsza, to dzieje grzesznicy Muszety, które różnią się tym od wielu podobnych „dziejów grzechu“, że ostatecznym motywem grzeszenia jest tu nie jak zazwyczaj, użycie czy inne pobudki materialne — ale sam pęd do zła, urok upadku. Muszetę pociąga w rozpustę jeszcze coś poza jej lichymi dawkami, mianowicie przede wszystkim „straszliwy kochanek“, który pragnienie rozpusty tobnął w duszę. W jej ziemskich pasjach wyczuwa się pierwiastek absolutny, pozaludzki — cień szatana w człowieku. Najwyższe świadectwo Bernanosowi, jako artyście, wystawia zupełne prawdopodobieństwo, realizm tej powieści. Naogół to co przeżywa Muszeta mogłaby przeżyć każda młoda dziewczyna z

Jakże piękna i wzniosła była nazwa orderu, projektowana na 200 przeszło lat przed ogłoszeniem dogmatu o Niepokalanym Poczęciu; król polski pod tym wezwaniem zamierzał zgrupować ludzi, którzyby nie przywac, lecz Bogu i Ojczyźnie służyli.

Ordery dawnej Rzeczypospolitej z chwilą odzyskania niepodległości zostały restytuowane. Powrócił najdawniejszy order polski Orła Białego i wspaniały Order Virtuti Militari. Tylko obcy już się nam stał order Św. Stanisława, na którego dyplomy po rozbiorach jeszcze sprzedawał pokojowy królewski Ryx a później Order ten adoptowała Katarzyna II.

Szlachta, która deklamowała wciąż o równości szlacheckiej, była niezwykle próżna; niektórzy wywodzili siebie od Juliusza Cezara, Rolicy od Cyncynata. Każdy zwał się kasztelanem lub wojewodzie itp. jeżeli sam nie miał jeszcze urzędu. Niesiecki, autor herbarza, ukrywał się długie lata przed szlachtą, która go chciała porąbać za to, że nie wyliczał ich rzymskich przodków. Pacowie uważali siebie za krewnych św. Magdaleny de Pazzis, której portret zawiesili w kościele przez siebie fun-

dowanym. Najwspanialsze dzieło sztuki w Polsce a jeden z nielicznych w świecie, jakim jest kościół św. Piotra i Pawła w Wilnie, zawdzięcza swą wspaniałość nie tylko pobożności, ale i „skromności“, hetmana W. L. Paca, który pragnął zaćmić Jana III fundującego właśnie kościół w Warszawie. Pac kazał się pochować u progu kościoła pod płytą kamienną z napisem: „Hic iacet peccator“, ale nie omieszkał na frontonie świątyni umieścić inny napis „Regina Pacis funda nos in Pace“ — czyli — „Królowo Pokoju, albo — Paców — zachowaj nas w pokoju“. Tacy to już dawniej bywali ludzie.

\* \* \*

Minęło 320 lat od pielgrzymki Władysława Wazy Drugi Korpus Polski, idący śladami Legionów Dąbrowskiego wkroczył do Loreto. Wspaniała Bazylika bombardowana przez lotnictwo niemieckie, stałaby się pastwą płomieni, gdyby nie odwaga i ofiarność polskich żołnierzy. Czyż właśnie teraz nie jest najodpowiedniejszy czas, by zrealizować myśl wielkiego króla i ustanowić Order Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

Stanisław Janicki



dużym temperamentem. Ale w szybkości z jaką jej pragnienie życia i rozkoszy rozwija się, uświadamia i urabia charakter, jest coś tropikalnego. Dusza Muszety dojrzewa naprawdę pod palącym słońcem szatana.

Po „Historii Muszety“, tym świeckim wstępie, którego celem jest niejako naprowadzić na ślad istnienia szatana w życiu ludzi, następuje historia świątobliwego ks. Donissana i jego zmagania z szatanem oczywistym już i wszechobecny. Ta najlepsza część powieści „Kuszenie rozpaczy“ to tragiczne dzieje walk i błędzeń świętego.

Co najbardziej wstrząsa i uświadamia, na jakie wyżyny wprowadza Bernanos, to ukazanie nie triumfów, ale właśnie tego błędzenia świętych. Obrazy wielkości człowieka, spotykane w literaturze sa zazwyczaj tylko pozytywne, bezkrytyczne, jakby oglądane od dołu. Toteż jeśli pisarz potrafi przeniknąć i przedstawić zblakania wielkich, doznaje się wrażenia, że stanęło się na tych szczytach duchowych skąd wszystko na ziemi jest już widzialne i zrozumiałe. Bernanos stanął tam, gdzie jedynie wielkość jest ważna, ale i słabości wielkich są już widzialne. Iść za jego spojrzeniem nie jest łatwo. Kroczymy tu po zawrotnych dla nas ścieżkach, z trudem stawiając kroki za myślą pisarza.

Sami nie odróżniamy nawet właściwej od omylnej drogi biednego księdza Donissana: z naszego punktu widzenia wszystko wydaje się właściwą drogą. Ale Bernanos umie ukazać, gdzie ścieżki się rozdwiają. On zna niebezpieczeństwa zbyt wielkiej pokory i przejścia jej w groźne zwątpienie o sobie i potrafi nakreślić tragedię niewczesnego nawra-

cania Muszety, znanej nam z części pierwszej, kiedy współczucie księdza dla grzesznego człowieka przechodzi nagle w ślepa i bezlitosną nienawiść do grzechu. A w tych zblakaniach najlepszej woli ukazuje się naraz z nieodpartą oczywistością dzieło szatana, który nienawidzi świętości i sam jeden może

sprowadzić ją na bezdroża.

Część trzecią powieści możnaby nazwać „Kuszeniem cudu“. Jest to historia niedosłusznego: próby wskrzeszenia zmarłej dziewczyny przez ks. Donissana. Tu, raz jedyny u Bernanosa, tracimy jasne widzenie sprawy, zostajemy jakby poza nią. Linia przeprowadzona między działaniami Boga i omamianiem szatana w duszy świętego jest tak trudno uchwytna, że czytelnik nie umie rozstrzygnąć, czy „kuszenie cudu“ było pułapką szatańską, której święty o mało co nie przemienił w cud prawdziwy wysiłkiem swej woli, czy też brak wiary i zwątpienie świętego o sobie, ten siew szatana, sprawiły, iż nie mógł on dojrzeć cudu, ofiarowanego przez Boga.

Powieść kończy się bardzo smutno, niemal ponuro, wydrwieniem przez szatana sługi bożego w godzinie śmierci i gdyby nie ostatni akcent, przedśmiertna modlitwa świętego — który skarżąc się na osobistą klęskę, wierzy, że ci, co po nim przyjdą, szatana przeciw zwyciężą — gdyby nie to „contra spem spero“, książka byłaby rozpaczliwa.

Dzieło Bernanosa jest proste i trudne zarazem. Proste, bo elementy jego są nieliczne, postawa duchowa niezmienna, charaktery wyraźne i niezłożone. Książkę wypełnia sprawa zła i dobra, miłości Boga i nienawiści do szatana; wszystko inne nie ma już prawie znaczenia. Bohatera książki ks. Donissana możnaby określić w kilku słowach: potężna wola i uczucie, umysł całkiem mierny; stałe nastawienie: pokora i uparta zacieklność w walce. W czołowej scenie kuszenia ks. Donissan zwycięża szatana swoją cierpliwością, milcząca nienawiścią, niczym więcej. Żadnej dyalektyki, tylko najprostsze uczucie. I tak jest w całej książce. A jednak w tej prostocie nie ma nic monotoni. Przeciwnie, przemawia ona coraz mocniej, sięga głębiej. Jest to prostota wielkich spraw, gdzie tonów mamy niewiele, ale jakże pełnych i dźwięcznych. Taką pełnię tonu może dawać tylko prawda i głębokie przeżycie autora. Tę prawdę przeżycia czuje się tak mocno, że nawet tam, gdzie nie ogarniamy jej odrzucając własnym odczuciem czy zrozumieniem, nie przyjdzie nam na myśl podejrzewać jej rzetelności.

Takich chwil niedowidzenia nie brak, bo książki nie czyta się łatwo i nagle odrzuca się w nią wnika. Toteż „Pod Słońcem Szatana“ należy do dzieł równie głośniejszych, jak mało czytanych. Ale czyż nie jest to cecha najgłębszej prawdy — że bywa równocześnie prosta i trudna?

Tyle o powieściowym wątku dzieła. Jest on jednak, jak powiedziałem, tak prosty, tak ubogi w zdarzenia, że właściwie nie on się liczy. To co pozostaje na zawsze w pamięci, to nastrój i myśli tego niezwykłego utworu.

W szkicu niniejszym przede wszystkim na nie chciałbym zwrócić uwagę.

Rzecz, która uderza najbardziej przy lekturze Bernanosa, którą wyczuwa się z nieodpartą mocą — to pewność, że jest Ktoś poza człowiekiem ze człowiek wogóle nie jest ważny, a świat prawdziwych wartości zaczyna się poza nim.

W ludziach „Pod Słońcem Szatana“ pociąg ku złu i dobru jest pędem ku czemuś zewnętrznemu, co istnieje samo w sobie.

Przyda się dla orientacji porównać ten sposób widzenia Bernanosa ze stanowiskiem innego głośniego pisarza katolickiego Mauriaca. U bohaterów powieści Mauriaca ma się właściwie do czynienia tylko z namiętnościami ziemskimi, wyrastającymi z istoty człowieka. Zło Mauriaca jest formą przeważnie ludzkiego egoizmu a dobro — zwykłe przypadkowe jego przewyciężenie. Bernanos natomiast widzi i ukazuje czyste zło i dobro, cele absolutne, rzucone przez Boga i szatana, ku którym człowiek dąży, lecz które nie z ludzkiej gliny się rodzą. Bernanos to naprawdę pisarz o poczuciu metafizycznym.

Oczywiście z takimi ujęciami mógł każdy spotkać się w literaturze religijnej już gdzieindziej — ale nie w powieści i rzadko z taką sugestywną siłą wyrazu. Dlatego lektura „Pod Słońcem Szatana“ staje się rewolucyjnym przeżyciem, jak gdyby zajrzeniem w inny wymiar.

W powieści Bernanosa natykamy się na inną jeszcze, zupełnie już dla nas nową koncepcję, która jest bodajże najciekawszą myślą tego dzieła.

Oto dla dalekosiężnych oczu Bernanosa nie istnieje prawie zwykła problematyka moralna, zwalczanie powzednich pokus, dziedzina siedmiu grzechów głównych, które pochłaniają tyle energii duchowej. To nie są dla niego właściwie sprawy ducha, ale jakby duszyczki, bezpośrednio z ciałem związanej i równie jak ono nieważnej. Nie znam pisarza, któryby tak jak Bernanos potrafił odgraniczyć nam odmiennosć spraw ducha od spraw ciała pospołu z tą właśnie „duszyczką“, spraw absolutnych od doczesnych i ziemskich. To, co wydawało się nam dotychczas dziedziną problemów duchowych: zmaganie się z pokusami ciała i egoizmu — to dla Bernanosa tylko „trzewia życia“, moralnie niemal bezimienne. Prawdziwa walka między złem i dobrem istnieje wysoko ponad tymi nizinami. Posłuchajmy, jak sam Bernanos oddziela dziedzinę istotnego zła od zwyczajnej małości i brudu, nazywanych złem:

„Nie dla was jest ta książka serca wrażliwe i małe: Czart waszego cudacznego obrządku jest tylko waszym własnym zniekształconym wizerunkiem, Szatan prawdziwy patrzy na was ze śmiechem, ale nie pochwyił was w swoje szpony. Czemużby zabiegał o taki bezlik synów ziemi, którzy oblażą ją jak zwierzęta? Ta ślepa gawiedź sama podaża ku swojej zgubie. On swą nienawiść zachował dla świętych.“

„Cóż ludzie czynią z życia wewnętrznego? Smutną pobożność instynktów. Z moralności? Higienę zmysłów. Kuszenie jest dla nich jeno cielesnym pozadaniem. W ten sposób ludzie ledwie zdają sobie sprawę z najpospolitszych epizodów wielkiej walki wewnętrznej. W świecie tak czujących i myślących zwierząt nie ma miejsca dla świętych. Zło jak i dobro kocha się bowiem i służy mu się dla niego samego.“

Tak więc Bernanos ukazuje nam nowy, dotąd całkiem przez nas nieprześlany świat wartości i całkiem nową ich hierarchię. Jego „linia podziału“ uderza i zastanawia głęboko. Trudno się może zgodzić na obiektywną słuszność takiego podziału, trudno granicę etyczną poprowadzić ponad sprawami dnia powszedniego, w których wszelka moralność ma przecież swój początek i korzenie — ale jest w każdym razie podział bardzo ambitny i pobudzający z kolei naszą ambicję. Kazać spojrzeć na wszystkie nasze przeciętne osiągnięcia moralne jako na marność niegodną uwagi i skierować nasz wzrok jeszcze wyżej — to bardzo ciekawe i pedagogicznie może skuteczne pociągnięcie.

Przechodzę teraz do najcenniejszej dla mnie zdobyczy z lektury „Pod Słońcem Szatana“ i zarazem najbardziej dla nas Polaków aktualnej: — do nastroju, jaki płynie z tego dzieła.

Istotą dzieła Bernanosa jest: walka, nieustępliwa walka o doskonałość, mimo upadków i zblakania. Ten bojowy ton daje dziełu jego wspaniałe napięcie i sprawia, że mimo prostoty elementów, pochłania ono od początku do końca. Bernanos jest poetą walki, jest duszą w najwyższym stopniu aktywną i właśnie uparty optymizm czynu ratuje go od pesymizmu, do którego pisarz ma skłonność. Toteż chociaż „Pod Słońcem Szatana“ jest opowieścią o walce prawie przegranej, w której Bóg jakoby nie pamiętał o swoim bojowniku, w której największa ofiara się nie oplaca — o dziwo — ten bilans życia tak ujemny nie przynębia, a raczej budzi ponurą odwagę i pasję bojową. To przypomina zupełnie działanie utworów Conrada, gdzie wszyscy przegrávají, ale zawsze walczą do ostatka — i ten heroizm walki, choćby beznadziejnej, zraza w końcu czytelnika.

Ale czy znajdujemy Boga, który nadawałby sens walce, w tej gorzkiej powieści? Szatan naprawdę jest szatan — to jest i Bog. Trudno Boga nie wyczuć w żarliwości podstępów Jego przeciwnika a przede wszystkim Bóg jest w zacieklej bojowej swego niezłomnego żołnierza. Tak to każda walka, każda bojowa postawa — nieraz na przekór rzeczywistości — przekonująco sama o celu, dla którego ją toczy i sugeruje tę wizję oczom patrzących.

Jest jeszcze inny czynnik, który pod koniec powieści odpiera i wytrąca nam z serca ciężkie pytanie „Czy warto?“ jakie zrodziło się na widok daremnej i niegodnie przez szatana wydrwionej męki świętego. Jakż to niezwykły i olśniewający pomysł miał autor, by zakończyć tragiczne dzieje ks. Donissana kompromitacją taniego sceptycyzmu i hedonizmu obrazem marnych igraszek z powagą życia sławnego pisarza Saint-Marina, który przybył do Lumbres, ciekaw poznania świętego. Ten przejmujący kontrast otrzeźwia i pozwala ocenić prawdziwe wartości życia. Autor zdaje się do nas mówić: Wybierajcie, z jednej strony macie zacieklej bój o najwyższe dobra życia, bój ciężki i

(Dokończenie na str. 28)

## BOLA SŁOWA



TRASZLIWĄ ręką uderzasz w nas Boże,  
ryjąc nieznaną a palące rysy,  
ogniami palców jakiś kształt w nas tworzysz  
i wtapiasz w kontur na iskrach rozblęśły,

A w nim się dusza rozpalona bieli  
i syczy z bólu od Twoich zamierzeń,  
a ból jękami błyskawic ślad ścieli  
w przepaściach nocy, ślad Twoich uderzeń.

I już tylko błysk i krzyk: „niszcz nas Panie  
mistrzowską ręką: dłutem piorunowym,  
aż z przetopionych wnętrzy naszej duszy  
wybuchnie w ogniach płomienny kształt nowy!”

ZDZISŁAW BRONCEL

## W CIASNEJ NAWIE BARAKU



CIASNEJ nawie baraku, w katakumbach mroku,  
Nikła świeczka otwiera niebieskie podwoje —  
I Bóg zstępuje w tajgę przez zbrojne konwoje,  
Kolczastym drutem tocząc krew z swojego boku...

Starczą cudowi chleby z przasnego pajoku  
I wystarczy Sybiru za krzyżowe znoje,  
Iżby w słowach najświętszych — „oto ciało moje” —  
Dopełniła się miara prorocत्व i wyroków.

O Boże, narodzony w więziennym barlogu,  
Gdzie miast osła i wołu ludzie w gnoju leżą —  
Gdzie nawet siana brakło przy świętym pologu,

A „Gloria” gong zagłuszył pod strażniczą wieżą...  
Daj nam gwiazdę przewodnią — jak magom ze wschodu  
I aniołów budzących — jak śpiącym pasterzom.

JACEK KŁOS

## L I S T



IE widzę Ciebie lat tyle — nie słyszę —  
Ogarnąć jeno mogę Cię

[wspomnieniem,  
Tęsknotą w sercu, a w myśli  
[marzeniem  
I jeszcze — modlitwą.

Piszę  
Ten list w noc późną: świt staje  
[u progu —

Późno zjawiłaś się przy mnie — lecz mocy  
Wywołać Cię wcześniej — nie mam, jak w nocy

Tylko, — zał ukój: ofiaruj go Bogu.  
Nie odchodź! Pozostań jeszcze choć chwilę:  
Przychodzisz zawsze na moje wezwanie,  
Na jutro inne wyznaczę spotkanie —

Tam szczęścia zaznamy — radości tyle.  
Spórz w okno: błyszcza jeszcze Niedźwiedzi  
Wielkiej gwiazdy! Znajdź — widziany z ulicy  
Płat nieba, kiedy powrócisz do siebie —

Gwiazd szukaj, które wskazują Ci w niebie,  
I w gwiazdy spłyni, lzy osusz i nie płacz!  
Tam się spotkamy: Ty więzien — ja tułacz!  
— Odeszłaś?

Więc piszę —

I znów mi się zjawisz — czuję Cię — słyszę, —



## SZOPKI I KANTYCZKI KOLENDOWE

Według tradycji kościelnej Św. Franciszek na lat kilka przed zgonem przemyślał o tym, jakby podnieść, uświetnić uroczystość Bożego Narodzenia i podniecić w ten sposób pobożność ludu włoskiego. W tym celu, otrzymawszy zezwolenie papieża, wystawił w grocie usronnej żłobek, sprowadził wołu i osła, zgromadził ludność wraz z bracią zakonną, i w tym otoczeniu, przy dźwiękach chóralnych pieśni, odprawione zostało nabożeństwo, ku czci maleńkiego Jezusa. Tak to powstały pierwsze jasełka, a zwyczaj urządzania ich przeszedł wkrótce poza granice Włoch i rozpowszechnił się po całej Europie zachodniej.

Rychło też pierwotna, bardzo prosta forma obchodu tego przestała wystarczać. Wyobraźnia ludu, podniecona obrzędem, pracowała dalej. Osoby, występujące na scenie jasełek, jęły się mnożyć. Obok Dzieciątka, Matki Jego i Św. Józefa — pojawiły się inne jeszcze postacie. Z pieśni tworzyły się obszerniejsze kompozycje dramatyczne, do których niejedną szczegół zupełnie świecki dodano. Długi czas grywano te utwory po kościołach. Gdy jednak świeckich rysów zbyt wiele zaczęło przybywać, duchowieństwo usunęło przedstawienie z obrębu świątyni Pańskich. Nie straciły one przez to swej popularności. Nie straciły też swego związku ze świętem Narodzin Pańskich. Tłumnie nawiedzane, były przez długie wieki ulubioną rozrywką pobożnych słuchaczy.

Obok utworów, odgrywanych przez żyjących aktorów, pojawiły się też teatryki, w których wyznaczone sobie role grały poprzebierane laleczki czyli marionetki.

Na obszarze ziem polskich wszystko poszło tą samą koleją, skoro zwyczaj urządzania przedstawień dramatycznych, ze świętem Bożego Narodzenia związanych, przedostał się do nas z zachodniej Europy. Z początku te przedstawienia odgrywane były w obrębie kościołów lub klasztorów. W XVIII w. dla zbyt świeckiej treści usunięto je stamtąd. Nie przestały jednak istnieć nadal i rozwijać się pomyślnie. Gromadki wędrownych aktorów wzięły je w swą opiekę. Często zastępowali tych aktorów żacy szkolni, którym przy tej sposobności niejedną grosz kapnął do kieszeni.

Biblioteki polskie przechowały w swych rękopisach pewną ilość utworów scenicznych, pochodzących z XVII i XVIII wieku, w których już odnajdujemy rysy w późniejszych polskich jasełkach spotykane.

Oto np. w takim widowisku z XVIII w. mamy tak dobrze z późniejszych czasów znaną rozmowę:

*A śpiż Bartek, Szymek, Wojtek,  
Maciek, Walek, Tomek, Kuba, Slachu?*

*Ozwiżę się przecie który z was, bo  
umrę od wielkiego strachu!*

*Ono coś takiego,*

*Jak słońce jasnego,  
Świeci na niebie!*

— woła przerażony Franek, widząc wielką lunę na niebie. Stach zaś, nie mniej przerażony widokiem aniołów, pyta:

*Czego ci janieli,*

*Co się hań zlecieli,*

*Po nas żądają!*

Dopiero Bartosz pojmuje, o co chodzi, i organizuje całą wyprawę do szopy

betlejemskiej, na powitanie maleńkiego Jezusa.

Z czasem namnożyła się niesłychana ilość tekstów jasełkowych. Każda okolica posiadała swych poetów, którzy przerabiali już istniejące teksty, nowe szczegóły, nowe postaci dodając zgodnie z wymaganiami życia.

Te przedstawienia, w których aktorami byli ludzie, przybrały nazwę „Herodów” lub „Maryjek”. Obok nich zaś drugim pomnikiem dawnych świątecznych widowisk jest „szopka”, tj. mały, przenośny teatrzyk, w którym występują lalki na drucikach ruchomo osadzone, czyli marionetki. Szopkarzom zaś pozostają jedynie śpiewki lub deklamacje, których te lalki wypowiedzieć nie mogą.

Zdaje się, że pierwsze teatrzyki marionetkowe pojawiły się w Warszawie na początku XVIII w. Rozwinęła się jednak potem polska szopka najbujniej w Krakowie i w jego okolicach.

Oczywiście zasadniczym jądrem całego przedstawienia pozostały sceny czerpane z legend i z Nowego Testamentu. Mamy więc tam zawsze i przede wszystkim budzenie pasterzy przez aniołów, niesienie darów Dzieciątku, przybycie trzech królów, rozkaz rzezi, wydany przez tyrana, wreszcie śmierć jego. Ale do tych scen zasadniczych przybywały w każdej okolicy nowe, z życiem miejscowej ludności związane. I jeśliśmy zestawili teksty szopki całej Polski, śmiało rzec można, że te postaci Krakowiaków, Górali, Mazurów, Kozaków, Żydów, szlachty i chłopków, mieszczan, rzemieślników itd. złożyłyby się na niezmiernie pełny, niezmiernie charakterystyczny obraz życia naszego narodu.

Z biegiem lat ją jednak tracić szopka polska swój właściwy, oryginalny charakter. Obecnie pozostały z niej już tylko resztki. Pomysły dawne zbanalizowano. Wiele postaci szopkowych znikło już z życia — więc i przestało interesować widzów. Pseudokultura wielkowiejska odwróciła się od tych naiwnych przedstawień, a i wieś straciła swój kult dla jasełek. To zaś, co jeszcze z nich pozostało, razi często trywialnością pomysłów i zupełnym brakiem świeżego, bezpretensjonalnego wdzięku, jaki cechował dawną szopkę polską.

Ślady jej pozostały w zbiorach kantyczek. Wszystkie kantyczki kolendowe, w formę dialogu ujęte, to najprawdopodobniej resztki jasełkowych przedstawień.

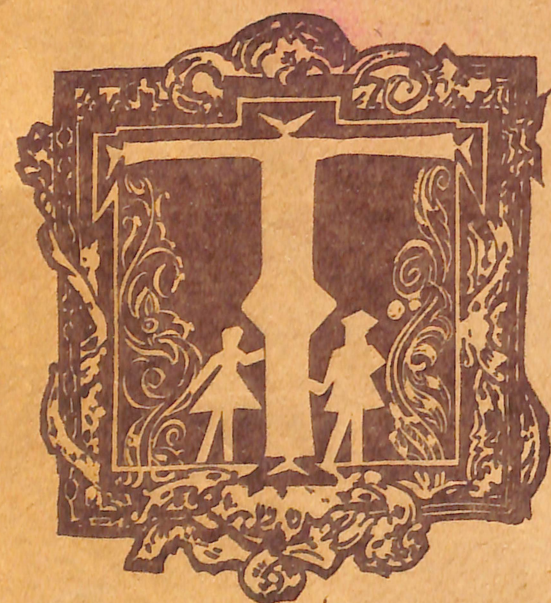
Bo też obydwie te działy: jasełka i kantyczki kolendowe łączą się bardzo ściśle ze sobą, i granicy dokładnej pomiędzy nimi niepodobna przeprowadzić. Jedno święto je zrodziło, wspólna ich treść i wspólne cechy zasadnicze. I tu, i tam odnajdujemy prostotę dziecinną niemal przy ogromnym częstokroć wdzięku, oraz moc rodzimego humoru.

I tu, i tam wyczuwamy bardzo silny, serdeczny związek pomiędzy bezimiennym twórcą jasełek lub kolend, a dziełem jego. Ten nieznanym poetą kocha to najcudniejsze ze świąt chrześcijańskich i jego głównych bohaterów. On ich mocą ukochania zbliża ku sobie, zbliża i ku tym wszystkim, którzy szopki jego lub kantyczek słuchać będą.

I oto stajemy wobec niezwykłego zgoła faktu. My, którzy w poezji artystycznej, kunsztownej, w poezji urzędowej, tak chętnie naśladowaliśmy obce pomysły i niejednokrotnie tak słabo zaznaczaliśmy naszą twórczość rodzimą, narodową, my, którym wśród wsi polskiej tak długo tańczyły greckie Fauny, a wymanierowane Dafnidy tęskniły do pretensjonalnych Filonów, w szopce i w kolendach mówimy naszym własnym językiem, nadajemy tym utworom niesłychanie swoiste piętno i z tych odległych dziejów, z pisma świętego czerpanych, tworzymy rzeczy naprawdę polskie, jakby z głębin narodowego życia wysnute.

Zjawisko to zauważył już Adam Mickiewicz, który w swych prelekcjach paryskich silnie podkreślił tę rodzimość i treści i formy naszych kolend i jasełek.

Maria Dynowska



# OMORROW IS ANOTHER DAY...

(ROZMOWA NA CZASIE)

(Jerozolima, ulica King George. Przyjemny pokój z balkonem, skąd widok daleki na miasto i okolice. Na ścianach obrazy: jakaś włoska Madonna, portrecik gen. Sikorskiego, ozdobiony ullańskim proporczykiem, akwarela przedstawiająca Zamek Wawelski, biurko i stolik zarzucone książkami angielskimi i polskimi w wielobarwnych okładkach. Z niektórych wystają mapy. Wśród książek na stoliku króluje libijski fez bordo z granatowym chwastem i wpięty weń metalowy orzeł — odznaka Brygady Karpackiej, na biurku polne kwiaty. Wiosna 1944, późne popołudnie, elektryczność w powietrzu, zerwał się wiatr północny. Po pokoju nerwowo przechadza się AUTOR. Gwiżdże fałszywie jakąś ponurą melodię. Czasem wchodzi na balkon: patrzy na pędzące dołem z północy czarne deszczowe chmury, zadziera głowę, dziwi się: inne, białe, znacznie wyżej suną powoli ze wschodu na zachód. Jedna z północnych mknie jak ścigacz, zawiadując niemal o sztandar brytyjski na hotelu King Dawid. Dalej, za Starym Miastem, jak falujące morze, błękitnieje skąpana w słońcu Transjordanja. Wiatr północny się wzmacnia, trzaskają okiennice, jakiś ciężki przedmiot spadł na zgromadzone w podwórzu butelki, wywołując piekielny hałas. AUTOR zamyka balkon, przestaje gwizdać bierze do ręki jakąś książkę, przerzuca kartki. W głębi mieszkania słychać

trzy dzwonki, otwieranie drzwi, potem pukanie do pokoju. AUTOR woła „yes“. Wchodzi młoda dziewczyna w mundurze W.A.A.F-u, zgrabna, przystojna. Z pod granatowej furażerki spływają fale kasztanowych włosów, niebieskie oczy pełne słońca.)

AUTOR (radośnie zaskoczony): Hallo Queeny. What a surprise. How are you?

QUEENY: How do you do, Janusz. I'm quite well.

AUTOR: I'm very glad to see you now. Myślę, że napijesz się drinka. Mam jeszcze trochę ginu, niestety palestyński. Lime juice też nie z Londynu — o whisky nie ma mowy — trudno, wojna. Poczekał tu chwilę, skoczę do frigidera po wodę sodową.

QUEENY: Nie przejmuj się mną, wpadłam na krótko, aby Cię przeprosić, że nie będę mogła pojechać z wami w sobotę do Bat-Yam. Służba. (Spoglądając uważnie na AUTORA i porozrzucane książki) Ale widzę, że dziś jesteś jakiś zdenerwowany, czy spotkała Cię przykreść?

AUTOR (mieszając gin, lime juice i wodę sodową w szklankach): Szkoda, że nie możesz jechać. W każdym razie dziękuję Ci za wczesną wiadomość — zawsze podziwiałem Twoją lojalność. Urządzą się jakoś inaczej. Co do przykreści — zgadłaś tylko częściowo. To nie tyle przykreść, ile kłopot. Duży kłopot.

QUEENY: Co się stało?

AUTOR (siadając i podając QUEENY drink): Uważasz, ma się ukazać w Jerozolimie wydawnictwo literackie. Proszono mnie o napisanie czegoś, a ponieważ — jak wiesz — piszę książkę o Tobruku i nie lubię się rozpraszać i wogóle nie cierpię „tworzyć“ na zamówienie, więc dałem im zlekka przerebiony rozdział o jedzeniu w Tobruku, w Rosji i w przedwojennej Polsce. Redaktor, po naradach z różnymi mądrymi ludźmi, którzy się znają na cenzurze, zwrócił mi rękopis i prosi o napisanie czegoś innego.

QUEENY: O, too bad. I'm awfully sorry, indeed. Ale właściwie dlaczego? Pamiętam doskonale ten rozdział — tłumaczyłeś mi go niedawno: bardzo zabawny. Ale tam przecież nie ma żadnej polityki — pisałeś tylko o jedzeniu. Pamiętam: wymieniałeś jakieś dziwne polskie potrawy, jakieś fle... fla...

AUTOR: Flaczki. Masz doskonałą pamięć. Redaktorowi m. in. nie podobały się te flaczki — on uważa, że nie wypada pisać podczas wojny o takich dobrych rzeczach. Nie zupełnie się z tym zgadzam — nie jestem tak poważny i smutny, jak wielu moich rodaków. Ale właściwie nie o to chodzi, że oni nie życzą sobie tego artykułu. Ja mam zaufanie do redaktora i cenzury angielskiej, tak, jak ciągle wierzę w shakehand Churchill-Sikorski. Specjaliści lepiej wiedzą co teraz można drukować i działają dla dobra ogólnej sprawy. Zresztą jedzenie w niektórych krajach jest kwestią polityczną. Tylko, you see, chodzi o to, że muszę napisać coś innego: powstała duża wyrwa — trzeba ją wypełnić i to w ciągu dwóch dni. Naznosiłem tu najrozmaitszych książek, męczę się, klnę i pocę — wiesz, że nie jestem propagandystą. Nic nie wychodzi. Widzisz, jakiego kłopotu napytał mi redaktor, chcąc dogodzić Twoim szanownym rodakom.

QUEENY (stanowczo): O, przepraszam, to są Anglicy, a ja jestem Szkotką. Nie bardzo lubię Anglików, choć cenię ich wysoko.

AUTOR: Ach, przepraszam, zawsze myłę te wasze wewnętrzne sprawy. Zresztą Ty nie masz nawet szkockiego akcentu.

QUEENY: Bo teraz obracam się głównie wśród Anglików i mówię po angielsku. Ale znam także język gaelicki. Wiedz, że tym językiem posługuje się jeszcze dziś w Szkocji około 150.000 osób; a ostatnio uczy się go inteligencja. Mamy gaelickich poetów: w w. XVIII był słynny Mac Mhaighstir Alastair, potem Duncan Ban Macintyre, John Livingstone — dziś piszą po gaelicku Donald Sinclair i Angus Robertson. Zresztą musiałeś słyszeć o tym, że język Szkotów z dolin, będący dziś wprawdzie odmianą angielskiego, może być uważany za odrębną, gdyż bardzo wiele słów i form pochodzi z gaelickiego, norweskiego, fryzyjskiego i francuskiego. Gdybym zaczęła nim mówić — niewiele byś zrozumiał.

AUTOR: Wiem, wiem, znam nawet tutaj jednego szkockiego poeę, piszącego po gaelicku. Bardzo miły chłopak i wcale nie sknera: martwi się o milimy, ale nie dba o funty.

QUEENY (wypija resztę napoju ze swej szklanki i wstaje): I have to leave you now. Masz dużo pracy. Good bye!

(Nagle słychać grzmoty, wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, okiennice trzaskają przeraźliwie)

AUTOR: Nie ma mowy, zaraz zaczniesz padać. Musisz przeczekać deszcz — szkoda Twojego pięknego munduru. Pogadamy trochę — dla mnie każde widzenie z Tobą to lekcja angielskiego, choć Ty, jak wszyscy Brytyjczycy, jesteś zanadto uprzejma i nie poprawiasz moich horrendalnych błędów.

QUEENY: Oh, no, you chat quite well, really (wstaje, podchodzi do okna i przygląda się konfiguracji chmur)

AUTOR (przedrzeźniając): Quite well, quite well. Wiem, że mówię pod psem, ale wy się cieszyecie, gdy stranger mówi choćby podle waszym trudnym językiem — lubicie przenikanie waszej kultury. Ja też się cieszyłem, gdy spotkałem przed wojną prawdziwą Angielkę, która mówiła łamaną polszczyzną.

QUEENY (wracając od okna): Istotnie muszę przeczekać burzę. Ale wobec tego opowiedz mi coś o waszych kresach. Czytałam w Szkocji to i owo o Polsce, korzystając z żołnierskich bibliotek, ale o kresach wschodnich nie mam wyrobionego zdania.

AUTOR: (siadając wygodnie, w zamyśleniu): Kresy... kresy... Nie łatwo jest mówić o polskich kresach wschodnich. Bo właściwie o których? Widzisz, Queeny, Polska jest także wyspą — jak Wielka Brytania —, ale niestety nie otoczona morzem, które niesie bezpieczeństwo, bogactwo, przyciąga i władanie w dalekich, egzotycznych krajach. Moja ojczyzna w toku swych dziejów stała się wyspą zachodnio-europejskiej, rzymskiej kultury w otaczającym ją niemal ze wszystkich stron morzu zaborczych, wschodnich narodów. Myślę o Rosji i Prusach, które właściwie nie przyjęły zachodniej kultury. W głębi swej ponurej, posłusznej wobec siły — brutalnej wobec słabości, duszy, Prusak jest człowiekiem. Wschodu, zlekka tylko oszlifowanym i nauczonym korzystania z materialnych owoców europejskiej cywilizacji. A przecież Prusacy od czasów Bismarka nadają ton całej Rzeszy. Niemcy przecież organizowali despotyzm carów rosyjskich. Nie jest przypadkiem, że już w początku XVI wieku cesarz Maksymilian, w czasie wojny polsko-rosyjskiej, przesał Wasylowi moskiewskiemu oprócz broni, amunicji i sprzętu wojennego, szczerozłotą koronę, a potem nadał mu tytuł „cesarza“ i władcy „Wszehrusi“. Na akt ten powoływali się późniejsi carowie, nawet Piotr Wielki. Wyczytałem właśnie przed chwilą, że

później, w roku 1611, Polacy, po zajęciu Moskwy znaleźli na Kremlu tę koronę.

QUEENY (zdziwiona): Polacy zdobyli Moskwę?

AUTOR: Tak, Polacy dokonali dwa razy tego, czego nie dokonały zbyt wrażliwe na zimno wojska Napoleona, czego nie osiągnął Hitler. Pierwszy raz było to w roku 1606, gdy król polski Zygmunt Waza osadzał na tronie moskiewskim Dymitra Samozwańca, a drugi w roku 1610. Wówczas, za namową wielkiego polskiego hetmana i polityka, Żółkiewskiego, Moskale wybrali carem naszego królewicza Władysława. Już wydawano wyroki w imieniu polskiego władcy. Już bito monetę z jego podobizną. Byłoby może doszło wówczas do unii polsko-moskiewskiej i do wciągnięcia Moskali w sferę wpływów zachodnich, gdyby nie błędy naszego króla Zygmunta.

QUEENY: Wiem coś nie coś o unii polsko-litewskiej. Byłam kiedyś na odczycie na ten temat, w Edynburghu. I już wówczas porównywałam to bezkrawne połączenie dwóch państw i narodów z dziejami naszego Zjednoczonego Królestwa. Przecież myśmy się stale bili z Anglikami — przeważnie bez powodzenia.

W XVI wieku Jakób IV poległ w walce z Henrykiem VIII, potem Jakób V umarł z rozpaczony po klęsce pod Solway Moss i t.d. i t.d. Jeszcze w 1715 i 1745 wybuchały w Szkocji antyangielskie powstania, walczące o restaurację naszej narodowej dynastii Stuartów.

AUTOR: Istotnie, nie potrzeba być propagandystą aby stwierdzić, że nasza unia z Litwą była wydarzeniem ludzkim wprost wyjątkowym. Hasło „wolni z wolnymi, równi z równymi“ nie było wówczas frazesem, jeśli się zważy, że właściwy, świadomy naród stanowiła wtedy tylko szlachta obu partnerów. Później rozszerzono to hasło na wszystkie warstwy. Czy wiesz że legionści polscy za czasów napoleońskich nosili na epoletach włoski napis „Gli uomini liberi sono fratelli“ — wszyscy ludzie wolni są braćmi? I istotnie, do tych legionów, które, zgodnie ze słowami naszego hymnu narodowego, pod wodzą Dąbrowskiego maszerowały „z ziemi włoskiej do Polski“ zaciągali się nie tylko Polacy wszystkich klas, ale także Chorwaci, Czesi, Słowacy, Serbowie. Ale wróćmy do kresów. (Ze sterty książek wydobywa duży tom, pokazuje) Tu masz piękne dzieło: „The Cambridge History of Poland“. O, tu jest mapa. Popatrz dokąd sięgały historyczne polskie kresy wschodnie. (QUEENY pochyła się nad mapą. AUTOR objaśnia) Patrz od góry do dołu:

obecna Lotwa, Estonia — wówczas Inflanty i Kurlandia —, dalej cała dzisiejsza sowiecka Białoruś z Połockiem, Witebskiem, Smoleńskiem, Ukraina z Kijowem — daleko poza Dniepr potem wybrzeże Morza Czarnego z Odessa, sokołdowa Moldawia — oto kresy Polsko-Litewskiej Rzeczypospolitej.

QUEENY (zaglądaając): To jakaś angielska książka (patrzy na kartę tytułową, czyta) „Outline of Polish History“ by Olgerd Górka.

AUTOR: To polski profesor. Skróć historię naszej wydany dla Anglików. Tak, tak — cofamy się bardzo, ale nie myśl, że te zabory zdołały wypłenić kulturę polską na wschodzie. O nie, przetrwała ona długo. (Siega po inną książkę) O, tu masz świeżo wydaną pracę prof. Stanisława Grabskiego „The Polish-Soviet Frontier“. Na tej mapie (pokazuje) uwidoczniło się ilość kandydatów polskich, wybranych do rosyjskich t.zw. ziemstw przed rokiem 1914. Popatrz, jak ciekawie układa się ta różowa plama: okolice Borysowa, Witebska, aż do Dniepru — od 45 do 55 proc. Polaków wybranych do Ziemstw: okolice Mińska — ponad 55 proc., na południu, pod Braclawiem też ponad 55 proc. — czy pojmujesz (odmierza na skali) to 400 km. na wschód od Lwowa. A trzeba zważyć, że te głosowania odbyły się już po przymusowym „nawróceniu“ na prawosławie 4 milionów unitów, po licznych konfiskatach majątków polskich, po wygnaniu po powstaniu 1831 dziesiątków tysięcy drobnej szlachty z Litwy i Rusi na Syberię, po dalszych masowych zsyłkach powstańców z r. 1863.

QUEENY: Słyszałam o tych zesłaniach. Babka mojej przyjaciółki wyszła za jednego z takich zesłańców: poznała go gdzieś w Chinach, czy Japonii.

AUTOR (odsuwając książki i prostując się): Polskość musiała przetrwać na tych kresowych obszarach, bo nie była narzucona, bo rosła samorzutnie na urodzajnej glebie wspólnego umiłowania wolności i poszanowania religijnych i regionalnych odrębności Litwinów, Białorusinów, Rusinów. Wiesz z pewnością o tym, że w Polsce nie było nigdy wojen religijnych, podczas, gdy w zachodniej Europie pochłaniały one miliony krwawych ofiar. Nie bez powodu w drugiej połowie XVI wieku — nuncjusz Commendone pisał do Papieża o tolerancyjnej polityce religijnej Zygmunta Augusta — czekaj przytoczę Ci to słownie, mam to założone w „Historii“ W. Sobieskiego (szuka i czyta) „w Polsce wszystko się działo zwykło bez gwałtu, a drogą przekonywania“. To są rzeczy znane, ale może nie słyszałaś o tym,

że według aktu Unii Lubelskiej językiem urzędowym na Litwie pozostał białoruski. Dopiero znacznie później sami Litwini, ulegając czarowi polskiej kultury, zaczęli coraz szerzej używać polskiego języka, aby potem wydać największego poetę polskiego Mickiewicza...

(Silne wylądowania atmosferyczne zagłuszają dalsze słowa AUTORA, o okna biją strugi deszczu. Z sąsiedniego mieszkania dochodzą dźwięki fortepianu. Ciche uderzenia pianina przechodzą w coraz potężniejsze akordy, mieszają się z grzmotami, wyciem wichury i pluskiem ulewnej walażącej w szyby. QUEENY i AUTOR słuchają jak urzeczeni)

QUEENY (cicho): Poznają, to Chopin, to Preludium deszczowe (słucha w zamyśleniu, potem unosi się w fotelu, spostrzegłszy jakąś książkę) Co to? Sienkiewicz po angielsku? „With Fire and Sword“? Nie znam tego, czytałam tylko „Quo Vadis“.

AUTOR: (otwierając książkę). Tak, to „Ogniem i mieczem“, kupiłem je dla Ciebie, długo szukałem angielskiego wydania — ta powieść nie była tak dużo tłumaczona, jak „Quo Vadis“, które widziałem nawet po chińsku. Sienkiewicz pisze tu także m.in. o polskiej pracy kolonizacyjnej na kresach wschodnich. Posłuchaj tej wspaniałej prozy. Ten ustęp dotyczy Zadnieprza, o tego kawałka ziemi (pokazuje na mapie, potem czyta)

AUTOR: Nasi łagodni historycy atakują często bohatera tej powieści, księcia Wiśniowieckiego za zbyt srogą wobec zbuntowanych Kozaków, choć był napewno barankiem w porównaniu choćby z Krzyżakami, nadużywającymi wiary dla tępienia Prusaków i Litwinów, albo przy późniejszych księżętach Rzeczypospolitej, nawracających mieczem poddanych według zasady „cuius regio, eius religio“. Z pewnością nie był surowszy od wielu waszych królów i monarchii.

QUEENY: Nie ulega kwestii. Ale wróćmy do tematu — już trochę mniej pada, niedługo trzeba będzie iść do domu. Więc to te kresy chcą wam zabrać Rosjanie?

AUTOR (śmiejąc się) O nie, niestety. Te dawno od Polski odpadły. Dziś chodzi o ziemie wschodnie Polski powersalskiej — niemal o 1/2 przedwojennej Rzeczypospolitej. (Wyciąga mapę, pokazuje) Między innymi o Wilno i Lwów, który 6 razy w ciągu swojej historii zwycięsko odparł oblężenia Tatarów i Kozaków. Gdyby jeszcze w roku 1770 ktoś nazwał te ziemie kresami, ich mieszkańcy uznaliby go za wariata. To prawda, że część tych ziem zamieszkuje Ukraińcy, czyli Rusini i spokojny lud białoruski, którego język napewno mniej się różni od polskiego niż Twój szkocki od an-

gielskiego. Przytem musisz wiedzieć, że każdy niemal Ukrainiec — choć nikt go do tego nie zmusza — zna język polski, a każdy Białorusin przynajmniej raz w tygodniu — w niedzielę — dobrowolnie rozmawia po polsku. Cobyś powiedziała, gdyby ktoś, kierując się względami językowymi i innymi odrębnościami, zaproponował odłączenie Szkocji od Anglii i przyłączenie — czy ja wiem, choćby — do Islandii?

QUEENY (śmiejąc się głośno) Dobry żart. Już mówiłam Ci nieraz, że nie kocham się w Anglikach, ale taki pomysł uważałabym za humorystyczny. Zresztą nikt go nie wysunie, bo my jesteśmy silni. Wy jesteście w gorszym położeniu: przyznam się, że, na mój głupi rozum, nie bardzo sobie wyobrażam, jak Polska może się obronić przed tym wypychaniem na zachód.

AUTOR (zapalając się) Jedna jest tylko droga: odzyskać element siły. Sprawić, aby otoczona zewsząd polska wyspa przestała być wyspą: aby stała się częścią stałego lądu, wysuniętym na wschód bastionem europejskiej, zachodniej cywilizacji. Znamy już tę drogę. Unia polsko — litewska uczyniła z nas silny bastion Zachodu — trzeba ją powtórzyć w znacznie większej skali. Unia zachodnich i południowych Słowian z włączeniem państw innej krwi. Ten blok 120-milionowy, choć szkieletem jego będą Europejczycy Słowianie, nie musi być czysto słowiański, nie ma mowy o żadnych rasistowskich teoriach. Mamy liczne przykłady, że właśnie mieszanie się różnych rasowo i narodowo elementów daje doskonałe rezultaty. Stworzenie takiej Unii, czy Federacji czy Zjednoczonego Królestwa — wielkie to i trudne dzieło, ale leżące w granicach ludzkich możliwości i całkowicie osiągalne. Realizacja tego dzieła zależy nie tylko od zainteresowanych narodów — mocarstwa zachodnie muszą nareszcie zrozumieć to, co Napoleon pojął i powiedział za późno: że „Polska jest istotnym kluczem całego sklepienia Europy“. Ameryka, zdaje się, już to rozumie. Coraz więcej głosów podnosi się za federację, jako jedynym rozwiązaniem na daleką metę. Jest już bogata literatura w tej kwestii.

QUEENY: Dziękuję Ci bardzo za miłą rozmowę — powiedziałaś mi dużo nowych i ciekawych rzeczy. Pozwól mi jeszcze rzucić okiem na tytuły twoich książek, może mi dasz coś do czytania i pójdę.

AUTOR: Proszę bardzo, wybiera, co tylko zechcesz. To nie są propagandowe bzdury. Ty wiesz, jak ja nienawidzę błagi i wszelkiej tandety — zebrałem tylko poważne książki.

QUEENY (biorąc parę książek) Ale, by the way, Mabel pisze mi właśnie (wyciąga airgraph), że wychodzi za mąż za polskiego kapitana.

(Wstaje jakby chciała się zebrać). A to, co to za książka — Kroniki Naroca...

AUTOR (poprawiając) „Kroniki Naroczańskie“ Lisiewicza. To piękna, pełna poezji książka, szkoda, że nie możesz jej przeczytać. Narocz, uważasz, to jest jezioro na Wileńszczyźnie, ogromne jezioro zgubione w otoczeniu bogatej, niemal dziewiczej przyrody. Leży blisko granicy sowieckiej, czyli na t.zw. — niewłaściwie — kresach, ostatnich kresach wschodnich. Na kilka lat przed wojną odkryto je w sensie turystycznym — stało się bardzo modne. Stworzono tam ośrodki sportów wodnych i zimowego, żaglowego ślizgarstwa.

QUEENY: To musi być wspaniały sport, nigdy go nie używałam. Myślę, że tam można też doskonale grać w hokeja.

AUTOR: Tak, to jest sport prawdziwie królewski. Lisiewicz z niezwykłą miłością opisuje w swej książce życie Naroczy i okolic, sporty, polowania, zwierzęta i ludzi, którzy tam żyją. Ale posłuchaj historii tej książki: jest krótka lecz wymowna. Wojna zaskoczyła autora nad Narocz — został pod koniec sierpnia 1939 r. powołany, jako oficer rezerwy, do 2-giego pułku lotniczego. Rękopis właśnie ukończonej książki zastawił żonie z surowym przykazaniem, by się z nim nie rozstawiała. Lisiewicz walczył w Polsce, potem we Francji, wreszcie w Anglii, a jego książka, troskliwie przechowywana przez żonę, odbyła przymusową podróż w głąb Azji: przez Ural na Syberię. Ostatecznie rękopis wyszedł zwycięsko z tysiąca przy-

god i niebezpieczeństw i — bodaj w 1943 r. — dotarł pocztą do Londynu. Brakowało szeregu stron i dwu końcowych rozdziałów. Autor oddał go do druku tak jak przyszedł. Świadomie, chyba przez miłość do żony — na pamiątkę jej wiernej, troskliwej opieki i tej dalekiej podróży. Tak, tak: „habent sua fata libelli“.

Nie mogę sobie odmówić przyjemności przetłumaczenia Ci jednego małego ustępu z „Kronik Naroczańskich“ (tłumaczy)

„Czasem, gdy księżyc wejdzie nad górami Highlandu, las szumi, polyskują gniewnie Loch Lomond, Loch Ness, czy Loch Leven, myślę o Naroczy. Pewnie srebrzy się jezioro, ryby skaczą. Lecz wody na nim puste. Cicho.

„W głębi lasu, przy Młynku, o samej północy podnosi się teraz z nad fali spalony dom młynarza. Koła szumią, jarzą się zielonym światłem okna. Z za okien odzywa się płacz podobny do niskiego wycia. Półludzki — półwilczy — płacz za utraconym szczęściem. Księżyc szeleści srebrem na fali, odpowiadają głucho drzewa zbite na brzegu w pierścien czarnego muru, wystrzępiony u góry. I trwa tak póki nie odezwie się gon psi. Zbliży się coraz bardziej, jest coraz bliżej. Hukają echa po borze. Już wybuchną skłóconą męlotnią tuż nad brzegiem jeziora.

„Lecz oto niknie dom młynarza, gon z nagła uciną, widocznie psy przelekły się bulgotu wielkich baniek, które na wodzie pękać zaczęły upodabniając się w blasku miesiąca do małych srebrnych fontann, tryskających nad falą.

„Lecz po chwili znów pisał pies jeden, za nim drugi i wnet sfera grać zaczęła, lecz coraz ciszej, jakby dalej,

coraz słabiej, aż głos jej zgasł i przepadł.

„Nad lasem zapalił się czerwony rąbek zorzy.“

AUTOR (zamyka książkę zamyśla się. Nagle uderza się w czoło, jakby sobie coś przypomniał): Queeny, jak brzmi nazwisko i imię narzeczonego Twej przyjaciółki Mabel?

QUEENY (zaglądaając do listu): George Poleski.

AUTOR (uradowany): Ależ to jest mój szkolny kolega Jerzy — Poleski. I co za dziwny zbieg okoliczności! On ma małą farmę na Wileńszczyźnie, niedaleko jeziora Narocz. Wiesz co? Mam świetny pomysł! Umówimy się, po wojnie nad jeziorem Narocz. Wezwórke: Ty, Mabel, Jerzy i ja. I tak zamierzałaś odwiedzić Polskę, więc pojedziesz do Poleskich, a ja zjawię się, gdy tylko mnie wezwiecie, choćby ogłoszeniem w „Kurierze Warszawskim“. Zżyjemy sportów wodnych, a jeśli to będzie w zimie — pojedziemy na bojerach. Posłuchamy starych klechd białoruskich chłopów. Dobrze?

QUEENY (poważnie, wyciągając do autora rękę): Jeśli tylko będę żyła to przyjadę napewno (spogląda w okno) Patrz: tęcza.

(QUEENY i AUTOR wychodzą na balkon. Wspaniała tęcza lśni na niebie. Jednym ramieniem wsparta na Transjordanii, drugim gdzieś w górach za kościołem Abisyńskim, obejmuje całe Święte Miasto. Słońce chyli się ku zachodowi, w świeżym powietrzu perłowa jasność. Szkotka i Polak długo patrzają na tęczę, potem QUEENY żegna się i wychodzi, mówiąc: „Nie martw się, Janusz, tomorrow is another day...“ AUTOR siada przy biurku i zaczyna pisać, rzucając czasem spojrzeń na tęczę rozpiętą nad miastem i światem).

Janusz Jasińczyk

CYPRIAN NORWID

I M P R O W I Z A C J A

(Na zapytanie o wieści z Warszawy)

Pytasz, co mówię gdy warszawskie dziecię  
Wstawa, oparte na cudzie?  
Bogu dziękuję, że jeszcze na świecie  
Są oryginalni ludzie!

Bo już myślałem, że dzieje od trafów,  
Trafy zależą od tronów;  
Że ludzkość składa się już z kaligrafów.  
A narodowość... z zagonów!

I że przepadła rosa dawidowa,  
Co kamień wznosząc do góry  
Nie dba, czy za nią armata gwintowa,  
Nie dba, czy przed nią broszury.

Dlatego, być tam nie mogąc, gdzie łkają,  
Ni w pierś przyjmować zaczepki,  
Milczę przynajmniej... mam uszanowanie  
Dla Achillesa kolebki!  
Paryż, 1861.

prawie beznadziejny, lecz dowodzący, że jest o co walczyć i że człowiek jest takiej walki godny. Po drugiej zaś stronie widzicie tylko próżne i samolubne kuglarstwo życiowe, które kończy się w zupełnej nicości i niegodnym lęku. Wybierajcie zatem. Trudno, jedno z tych stanowisk wybrać trzeba. Decydujcie, któremu oddajecie swoje serca.

Bernanos nie ułatwia wyboru i raczej odstrasza obrazem trudów i cierpień, jakie są udziałem świętego — bo taka jest wedle niego surowa prawda życia, a słabych nie warto zatrzymywać łagodzeniem jej zarysów. Ale, jeżeli po przeczytaniu tej bezlitosnej opowieści, przy świętym zostaje gromadka wiernych, czujących, że jego cierniowa droga nie była daremna — jest w tym wspaniałe zwycięstwo wielkiej duszy i talentu pisarza. Nie mogę zakończyć tego sprawozdania nie wspomniawszy o walorach artystycznych książki Bernanosa. Sile natchnienia pióra, doskonałość artystyczna. Niezapomniane są: scena samobiczowania, kuszenia świętego przez szatana w polu, wizja grzesznego korowodu przodków rzucona Muszecie przez ks. Donissana, przedziwnie mądra rozmowa księdza Mencu — Segrais z jego wikarym, scena niedoszłego cudu i ostatniej spowiedzi ks. Donissana, wreszcie straszliwe spotkanie Saint-Marina z trupem świętego. Nie mówię już — bo wspominałem poprzednio — o małym ziemskim arcydziele dziejów Muszety. A jakież to wspaniałe skok artystyczny od świeckiej, realistycznej historii tego zwierzątka do patetycznych (a jednak nadal realnych) dziejów zmagania się świętego z szatanem.

Jeżeli się do tego jeszcze doda ów kawał świetnej satyry, jakim jest opis wizyty Sain-Marina w ubogiej parafii świętego w Lumbres — to będziemy mieli zdumiewającą, niespotykaną wprost w jednym dziele, rozpiętość tonów duchowych i stylów artystycznych — a co więcej rozpiętość przedziwnie uzgodnioną — symfonię sięgającą ziemi i nieba.

Powiedziałem już, że „Pod Słońcem Szatana“ należy do dzieł równie głośniejszych, jak mało czytanych. Może szkiełko przyczyni się do tego, że wspaniała ta książka zostanie przez kogoś przeczytana.

Witold Turno

## BĘDA KLUSKI Z MAKIEM

— Maku nigdzie nie dostać w Budionnym.

— Dobrze i to, że mąka przesiana jest na Wigilię. Aże mi ręce omdlały od tych żaren. —

— *Kixiaku* przysposobiliśmy przed zimą. A mówiłam zawsze: opał to grunt. Chyba pamiętasz pani Łukasik? Teraz będzie ciepło na święta. —

— Co też panusia wytyka! Nie darmo chodziłam całą jesień po stepie, aż pod ruiny meczetu w Ulke, aż pod Kizylkaiński *sowchoz*... het, cholerny świat, żeby ten *kixiak*, co go bydłatka w trawie po sobie ostawiły — zebrać.

— Tyle tam pani jego nazbierała byś sama, co kot napłakał; żeby nie — Bohdanek.

— A bo to nie mój syn, co? Juścić — z Bohdanem. Przywiezłam go tutaj, chuchro było takie, że ledwo mu łeb z trawy wystawał. A tero chłopak, jak się patrzy — wyrósł, zmężniał na tym *kolchoznym* chlebie ino. Tak mu ten wiaterek zachstański służy. Kiej wygoni wołki w pole, a batem świśnie, a zawoła — ho, ho! To mi taka radość na sercu. Ot już — chłop dorosły, robotnik. Dużo byśmy miały bez niego! Tyla ino, co panusia zarobi tym stawianiem kabały. —

Lewandowska słyszała to już nie raz. Teraz wodziła zatroskanym okiem po glinianej ścianie *kibitki*, od polepy do pułapu. Wisiały tam pod obrazem Częstochowskiej, na kołkach drewnianych, woreczki z zapasami, aby je uchronić przed szczurami i wilgocią, podciągającą dołem. Po drugiej stronie izby, za wielkim, krzyżowym piecem, piętrzyły się bure cegielki *kixiaku*, starannie ulepione kiedyś rękami z mieszaniny siana, nawozu i wody. Nad nimi, na półce stały emaliowane naczynia — sprzęt bezcenny, którego tutaj nie kupić.

— Ale maku niema — powtórzyła.

— A nimo. Nie jednego niema. Obejdzie się. Napieczemy *lepioszek*. Usmaży się tę rybę, co to *zawchoz* nam na jutro za tamtą paczkę machorki obiecał. Nagotujemy na gęsto „przona“ i będzie wigilia. —

— Też mi wigilia, bez maku! Latem, pod Noworosyjskiem, za

obejściem widziałam całe zagony tego kwiecica. Napewno mają nasienie *krasnoarmiejki*, co go tam pilnowały. Za jaki stary łach można by kupić. Zrobiła bym kluski z makiem, jak co roku szykowałam w domu... Już bym do nich nie pożałowała tego cukru, którego resztkę pozostała z ostatniej paczki.

— Miały by dzieciśka uciechę... — przytaknęła pani Łukasik — Ale kto pójdzie do miasta? —

— Nikt inny, tylko Bohdan. Jeżeli sam zeche. —

— Do Noworosyjska — 20 wiorst. Tyli szmat drogi! Całe południe tęcza stojała nad słońcem. Kieby dwa słupy wielgachne. Ani chybi będzie *buran* na wieczór. Na zatrącenie chłopca nie puszcę z chałupy. —

Lewandowska spojrzała w małe okienko.

— *Przyjemki* jeszcze nie widać. *Burza* może być dopiero jutro. Bohdanek przyczepi się w drodze do jakiego *Kazacha*. Jadą przecie ludzie. Na wielbłądach za dwie godziny by przeleciał. —

— Ale na *bykach kolchoznych* za sześć nie dowlecze się... Wiatru jeno patrzeć. Nie puszcę i tyła. —

— On by sam poszedł po mak — uśmiechnęła się chytrze Lewandowska.

— Moja panusiu kochana! Nie mów że mu o tym, bo chłopak prędki, gotów polecieć i przed *buranem* nie zdąży... —

— No, to już jak pani chcesz, ale kluszek z makiem nie będzie. —

To rzekłszy odwróciła się od paleniska, na którym bulgotały w garnuszku jagły i pociągnęła potęgę kożucha rozesłanego na wielkiej, wspólnej pryczy, ubitej ze słomy za przegrodą z desek. Z pod futrzanego kołnierza wyjrzała teraz głowina z włosami, jak len — rozsypanymi w strąkach po poduszce.

— Zośka, a Zośka! Wstawaj. Dość wałkonić. Nadziejaj moje wałonki i leć po mleko do *Kazaszki*. —

Zrzuciła, trzępiąc nogą w powietrzu, ciężkie, męskie wałonki, kupione tutaj, jeszcze za lepszych czasów, zaraz po przyjeździe. I stanęła w grubych, samodziałowych

skarpetkach, na garści podrzuconej słomy.

Zośka szybkim ruchem odrzuciła korzuch, ziewnęła i przeciągnęła się, zginając w łokciach ręce. Ogarnęła włosy, wzięła z matczynej torby garść zmiętych, sowieckich rubli, nadziała *buszlat* familijny i poszła kłapiąc w sieni niedopasowanym obuwiem.

Łukasik zaczęła gderać, niby żartem. Zawsze jej to leżało na sercu, że Bohdanek zrywa się codziennie, pracując na wszystkich, choć wiedziała dobrze, że inaczej być nie mogło.

— Leń jest panusina dziewczucha. Śpi jeno, a śpi, kieby ten chomik w stodole. Pomocy z niej niema nijakiej; choć to już jedenaście років poszło. Mogła by przy kuchni porobić, abo i te zimnioki oskrobać, co je Bohdan wczoraj bykom ze żłobu odebrał i w nogawicy przyniósł.

— Nas dwóch starczy do takiej gospodarki — broniła się matka. — Niechże zimę prześpi. Latem znów pójdzie do paszenia, żeby „*trudodni*“ swoje odrobić. Tyle jej — co z nami odpocznie. —

Mówiąc to, wetknęła nową garść zgniecionych badyli stepowych pod kuchnię i dmuchała czas jakiś mrużąc oczy i wydymając przywidłe policzki.

Tymczasem wszedł Bohdan. Rzucił kaftan na prycę i zmęczonym ruchem dorosłego gospodarza, co wraca z obrzędku gadziny, usiadł pod oknem na ławie.

— Byki swoje nakarmiłeś? —

— Na dziś będzie dosyć. Znają mnie już bydłatka! Każdy ku mnie mordę przeciąga i mruczy. A takie były przedtem wystraszone, obite... Ale na jutro umówiłem się już z *Griszą*, żeby za mnie robił. Będę miał chociaż wolną wigilię. Na pierwszy dzień świąt wypada mój dyżur. Przez jutro wypocznę sobie.

Lewandowska spojrzała na sublokatorkę, ale nie rzekła nic, jako tamta prosiła.

Do izby wbiegła Zośka z dzbankiem świeżego mleka. Zawsze wpadała bomba. Teraz drzwi zapomniła zamykać, że chłód białymi kłębami zaczął się wdzierać do środka przez szparę. Przysiadła odrazu do chłopca, zdjęła mu czapkę i pogłaskała po spoconym czole.

— Bohdanku, mój złociutki, przynieś maku. Będą kluski. Mama da

cukru. Ja tak strasznie lubię kluski z makiem! —

— Ale skąd go wezmę?

— Z Noworosyjska, od *krasnoarmiejek*. Postaraj się o wielbłąda. Za dwie godzinki zalecisz. —

— Słyszała beskureja — uśmiechnęła się Lewandowska.

— Tyli świat. *Buran* ani chybi. — Próbowała protestować matka, wiedząc z góry, że przegra — Goły step nikiej ta pustynia. Ani *kibitki* po drodze. Kaj byś ta szedł... —

— Mógłbym zabrać się na *podwodę*. *Zawchoz* mówił, że na wieczór pójdą konie do miasta. Niech mama się nie martwi. W zajeździe prześpię się i na rano wrócę. Bez klusek — nijak. —

Mrugnął na Zośkę porozumiewawczo.

Naturalnie, żadnej furmanki nie było. Bohdan chciał tylko uspokoić matkę. Pieszko pójdzie. Nie pierwszozna mu to! Mak być musi na jutro. Niech się mała ucieszy.

Po obiedzie naniósł zapasu wody na wypadek *buranu*, podczas którego niebezpiecznie jest oddalać się z domu, nawet do studni. Odział się ciepło. Nogi zawiązał w starą gazetę, co znakomicie chroni od mrozu. Szalikiem omotał twarz wokół. Czapkę-kubankę — wymienioną niedawno za kapelusz pilśniowy starego Lewandowskiego — nacisnął na uszy i poszedł.

Słońce stało już nad zachodem, przydymione i promieniste, jak krzyż świetlany z monstrancją w środku. Po obu jego stronach, od horyzontu do góry, wznosiły się dwa słupy tęczowe, nasiąkłe blaskiem. — Pierwsza zapowiedź huraganu.

Wokół leżał step biały, sfalowany wzgórzami, niby zastygłe morze. Jak okiem sięgnąć — ciągnęła się bezkresna pustynia śnieżna, otoczona jeno kręgiem horyzontu. Zdawać się mogło, że kraj ten wymarły jest i pozabawiony wszelkiego życia, gdyby nie wilk stepowy, rudy włóczęga, który myszkował w dali, na polu. Zwęszył człowieka, podniósł łeb, postawił uszy i wzięwszy ogon między kolana, zmykał lekkim galopem, nie bardzo się spiesząc. Stał raz jeszcze na samej drodze, obejrzał się i zniknął za wzgórzem.

W plecy dał ziać coraz mocniej. Gdy po godzinie marszu chłopak spojrzął poza siebie — oczy jego nie znalazły oparcia. Jak mleko rozlane

w dolinach, jak mgła zgęstniała, sunęła ku niemu cała powierzchnia ziemi. Jedyne strome pagórki sterczały tu i ówdzie nieruchomo, niby wyspy.

Płynął step.

Wicher niósł dołem śnieżną kurzwę z szelestem gniecionych arkuszków papieru. Zasnuwał drogę miałkim pyłem, gromadził go w zasy przy każdej grudce i żdźble trawy. Kłął twarz, jak szpilkami, podcinał nogi w kolanach, tężał i wzrastał na sile.

— *Przyjemka* — mruknął Bohdan i nie oglądając się już więcej ruszył naprzód szybkim, wyciągniętym krokiem — aby zdążyć przed zadymką.

A zamieć ogarnęła mu już nogi i sięgała coraz wyżej z każdym kilometrem, z każdą minutę — do bioder, do pasa, do piersi. Pchała go z tyłu, przynaglając do biegu, grożąc upadkiem. Smagała plecy śnieżnym ziarnem i wyrwanymi z drogi grudkami, jak srutem. Drobny, rozpylony na mąkę osad wbił się w załamania odzieży, za kołnierz, do rękawów. Wyziębiał kark i skórę na plecach, przenikał nawyłot wełniany szalik, osiadał na rękach i brwiach.

Zawyło i zahuczało wokół. Świat się zakręcił w smugach pędzącej kurzawy i zniknął z oczu. Biały тумan, jak wata, otoczył wędrowca, zakrył niebo i ziemię. Jeszcze, przez pewien czas, w górze, nad głową, jaśniał błękit, rozedrgany złocistymi iskrami, ale wkrótce i to znikło w bieli.

Rozhulał się *buran*. Zapanował nad stepem i niszczył wszystko żyjące, zasypywał to, co się osmiało wznosić ponad ziemię.

Bohdan widział przed sobą, na odległości paru kroków, majaczące w pyłe strzępy kołcin, które pokrywały się szybko zadymką i nikły z oczu... aby znów zjawić się słabym, ginącym śladem na wzgórzach, gdzie był większy przedmuch. W dolinach brnął caliznami, starając się nie zmieniać kierunku zgađwanego na oko, na węch.

W tej mgle oszalałej pędem, pełnej jęku i poświstu, w chaosie rozgniewanego żywiołu, człowiek walczył o życie z pierwotną, dziką naturą, jedynie wątlami siłami i wola, zaciętą wolą. Miotany wiatrem, sieczony śniegiem — już nie szedł, ale zbiegał z pagórków, wdzierał się na szczyty, starając się nie spocząć, nie przystanąć.

Wiedział, że chwila słabości — to zguba. Bo jeśli padnie, a choćby przysiadzie, by dech złapać — już powstać nie będzie zdolny. Mróz mu zdrętwi członki, zawieja zasy-pie, sen zmorzy...

Z pochyloną ku ziemi głową, z rękami przy oczach dla osłony szukał śladów szlaku coraz rzad-szych i bardziej nikłych. Tam, wy-mieciona grudka zbitego śniegu, kiedyś wyrwana kopytem; gdziein-dziej bródka od płozy, nie całkiem jeszcze zawiana — świadczyły że nie zbił się z właściwego kierunku, że nie poszedł w step, gdzie go biała śmierć czeka — wyczerpanie.

Ale sił młodych zaczęło ubywać. Oddech stał się krótki, świszczący. Pot sciekał po twarzy, wraz z top-niejącym śniegiem, kapał z brody na kołnier i zamarzał od razu, pok-rywając brzeg szalika i kapotę na piersi, zlodowaciała skorupą.

Bohdan słabnął.

Zaczął tedy rozumieć z wyrazi- stością ginącego, całą swoją bezsiłę wobec potęgi bezwzględnej i wrogiej. Zaczął rozumieć, dlaczego w czasie buranu, ze stepu nikt nie powraca... I strach mu zjeżył włosy na głowie, zapomnieć kazał o zmęczeniu i no- wym podrywem pognał naprzód.

Naraz utknął. Przed sobą ujrzał bryłę śniegu, z pod której wystawały jakieś ciemniejsze kształty. Kant deski i... płozy. Zjawiło się to tak nagle i blisko, że ręką musiał się wesprzeć, aby nosa nie rozbić.

Pod tym dotknięciem bryła zaru- szczała się niespodzianie. Śnieg oble- piający ją, zaczął łapcami opadać; a z pod wielkiej czapy, oblukrowa- nej, jak babka wielkanocna, wynur- zzyła się twarz czyjaś — i nos siny od mrozu, i wąsy okryte szronem.

Człowiek siedział na sankach, za- prężonych w parę ogromnych wo- łów. Nogi okryte miał wielką bara- nicą, zasypaną z wierzchu śniegiem. Popatrzył na chłopca wystraszonym nieco wzrokiem i huknął grubym głosem, aby przekrzyknąć wycie wichru.

— Skąd ty? —

— Z kołchozu Budionnyj. Idę do miasta. Myślałem, że zdążę przed buraniem... A wy? —

— Ja jechałem właśnie do Budion- nego, ale musiałem zawrócić tyłem do wiatru. Byki nie chciały iść da- lej. —

— I tak stoicie? —

— One — mądre stworzenia. Same wiedzą kiedy ciągnąć, a kiedy przy- stanąć, przeczekać. I drogę znajdują do domu... Trza wracać. —

Obejrzał raz jeszcze chłopca.

— Ty co za jeden? —

— Polak. —

— Siadaj że za mną. Chowaj nogi pod szubę. We dwóch będzie cieplej. Dowlecemy się jakoś. Moje byki — uczone. W buran, na nich tylko do- jedziesz... A nu że! Czego przystały. To ty — od „worożychy“? —

— Tak. —

— Wiozłem dla was nowinę. Na- czelnik poczty mówił mi przed wy- jazdem, żeby dać znać jak będę w Budionnym... Paczka do was nade- szła. — Z Ameryki, czy co? —

Bohdanowi błysnęły oczy. Nie rzekł nic.

\* \* \*

Wicher zagasił ogień pod kuchnią. Huczał w kominie noc całą niesamowicie, jakoby tam wszystkie diab- ły *miting* odprawiały.

Chłód ciągnął ode drzwi i od o- kienka zawałonego śniegiem tak dokładnie, że ciemność panowała w kibitce. Pył śnieżny przesączał się szparą, pomiędzy szybami i rósł na parapecie, niby kretowisko.

Pani Łukasik biegała od wystyg- łego pieca do drzwi i spowrotem z przerażeniem w oczach. Nie bia- doliła już; ale z ust zaciśniętych, z rąk splecionych kureczowo na brzuchu — widocznym było, że prze- żywa mękę niepokoju.

— Tyla mojego ostało. Jedyny syn, żywiciel. A tero co będzie? — Lewandowska dawno już wyczer- pała wszelkie przekonywujące ar- gumenty — że przed buraniem ko- ni mi zdążył, że nocuje w ciepłym zajeździe, że drogę zna, że chłopak roztropny... Cóż to pomoże matczy- nemu sercu?

Sama była nie mniej strwożona. Bo to niby bez ten mak do klusek, co się jej zachciało, abo i Zośce. Rozkładała na podestanym kocu, w rogu pryczy, wytłuszczone karty i ciągle jej wychodziło, że nie wróci.

Zośka tylko kręciła się po izbie i ćwierkała, jak wróbel, co pod dach się schował przed mrozem. Ona jedna była wciąż pewna, że mu się nie stanie, że da sobie radę z buraniem... oho — Bohdan!

Znudzona czekaniem, wdziała wa- lonki, wzięła drewnianą łopatę, aże-

by śnieg odgarnąć ode drzwi, bo inaczej wyjść z domu było by nies- podob. Nie posłuchała matczynego:

— Nie leć! Dość już jednego zmar- twienia. —

Poszła.

Po dłuższej chwili rozległo się skro- banie pod oknem i tępe uderzenia łopaty w ramę. Z szyb opadały stopniowo płaty śniegu. W izbie zrobiło się jaśniej. A zaraz potem, w uczyniony otwór wetknęła się płowa główka dziewczynki i policz- ki zarumienione mrozem i pracą. Błysnęły w uśmiechu białe zęby.

— Buran ustał — krzyczała pisk- liwie — Słońce już świeci. Jest cu- downie! Cały dom zawiało z da- chem, że nie widać go od pola. —

A za nią wpadł do izby złocisty promień, jak radość.

— Komin też odkop Zośka — bo dymi! — Wołała Łukasikowa od drzwiczek pieca, przycupnąwszy z pękiem palącej się słomy w rękę.

Wraz ze światłem i ciepłem po- weselało jakoś w kibitce. Kobiety warzyły strawę na dzisiejszą Wigi- lię. Wyciągały swoje zapasy, czasem głęboko ukryte do dnia dzisiejszego przed własną pożądlivością. Uprzą- tały izbę, przetrząsały słomę w pryczy, aby wszystko wyglądało, jak nowe.

Zośka, na gorącej blasze piekła *lepioszki* z zagniecionego ciasta i coraz zaglądała do garnka, czy już gotują się kluski. Dorzucała słomy, aż hu- czało w kominie, żeby już były goto- we, zanim Bohdanek mak przyniesie. Poglądała na drzwi niespokojnie...

I nagle otwarły się, uderzone no- gami zsuwającego się na portkach z wysokiej zasy — chłopca.

Bohdan wleciał do izby z wielkim tobołem na plecach, niby ruchomy bałwan ze śniegu. Zrzucił swój tło- mok na polepę i obrywając palcami lodowe sople na brwiach i kołnierzu — uśmiechał się całą gębą do kobiet, które od pieca ruszyły się ku niemu.

— Jakże tam było?... Dałeś sobie radę?... Nie zginąłeś?... Nie zmarz- łeś?... Nie głodnyś?...

— O, i bardzom głodny! — prze- rwał okrzykiem ten potok zapyt.

Zdejmowały już z niego kapo- otrząsając ją w kącie ze śniegu, co się w nią nabił szparami i zwiślał w strzępach, jak białe kudły.

— A mak jest? — wołała Zośka.

— Nie tylko mak przyniosłem —

paczkę przyniosłem. Produkty, kon- serwy... —

Radość wtedy zapanowała wielka, by ci ludzie, zapędzeni niszczy- cielskim terrorem w pustynie Sybi- ru, zapomniani — zdawało by się — przez Boga i bliskich... znaleźli się w tej jednej chwili, w swoim domu rodzinnym w dostatku i spokoju, przy zapalanej choince.

Powiało ciepłym wspomnieniem — Gwiazdka.

Drżącymi rękami, klęcząc na wil- gotnej glinie, poczęły rozwiązywać paczkę i wydobywać z niej przed-

mioty o wartości bezcennej prawie.

— Skarpetki... koszula... mleko kondensowane... tytoń... —

— „Cor-ned... Be-ef“ — sylabizo- wała przy oknie Łukasikowa, kręcąc w rękę prostokątną blaszanką — Co to być może? —

— To mięso — wyjaśnił rzeczowo chłopak.

— Mój Boże — mięso!... I marga- ryny tyła blaszanka! Na miesiąc nam chyba wystarczy. Że też to ludzie muszą mieć tego dużo, kiej i nam posyłają... takie pyszności. —

— Pewno, że pyszności — dodała druga, obcierając oczy fartuchem — Będziemy mieli święta! To już nie *przono*, nie *lepioszki*.

— Herbatę wymienimy u Kaza- chów na mleko. —

— Machorkę — dla zawchoza. — A dziewczynka, plaskając w rącz- ki, skakała wokół rozpromieniona.

— Mamo, mamol — i czekolada... Jacy ludzie dobrzy! —

Jerzy Woszczyński





## P R Z Y S I Ę G A   Ż O Ł N I E R S K A

PRZYSIĘGAM, PANU BOGU WSZECHMOGĄCEMU, W TRÓJCY ŚWIĘTEJ JEDYNEMU, BYĆ WIERNYM OJCZYŹNIE MEJ, RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ, SZTANDARÓW WOJSKOWYCH NIGDY NIE ODSZĄPIĆ, STAĆ NA STRAŻY KONSTYTUCJI I HONORU ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, PRAWU I PREZYDENTOWI RZECZYPOSPOLITEJ BYĆ ULEGŁYM, ROZKAZY DOWÓDCÓW I PRZEŁOŻONYCH WIERNIE WYKONYWAĆ, TAJEMNIC WOJSKOWYCH STRZEC, ZA SPRAWĘ OJCZYŹNY MEJ WALCZYĆ DO OSTATNIEGO TCHU W PIERSIACH I WOGÓLE TAK POSTĘPOWAĆ, ABYM MÓGŁ ŻYĆ I UMIERAĆ JAK PRAWY ŻOŁNIERZ POLSKI. TAK MI DOPOMÓŻ BÓG I ŚWIĘTA SYNA JEGO MEKA.

A

M

E

N

